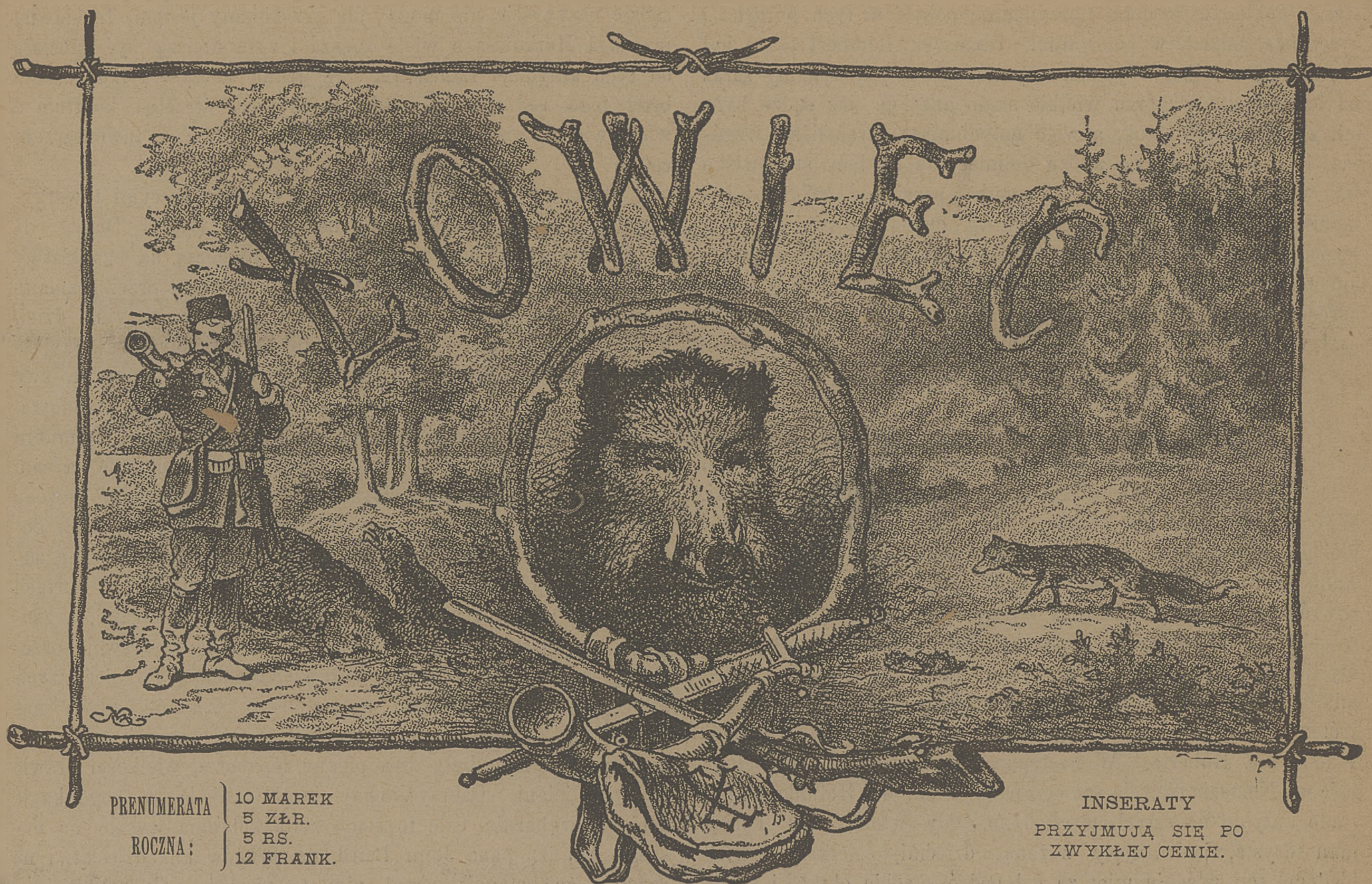
Nr. 12. Lwów, dnia 1. Grudnia 1881. Rok IV.



WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

WSPOMNIENIA z WYPRAWY MYŚLIWSKIEJ do SYRYI ROKU 1881.

PRZEZ

Leopolda hr. Starzeńskiego.

(Ciąg dalszy).

Dnia 16 Marca. Wyjechaliśmy znowu na tę samą dolinę, by się pomścić na danielach za wczorajsze nasze niepowodzenie. Wedle strategicznego planu Turków, wzięliśmy dwa mioty, podczas których myśliwi nieopuszczali swoich stanowisk, pogonka tylko zachodziła. Działo się to w ogromnym lesie rządowym, w którym rośnie rzadka dębina na bazaltowych podkładach, a cudne, krwawego koloru anemony tworzą jakby jednostajne pąsowe dywany. W każdym z tych dwóch miotów mogłyby cztery udzielne państwa niemieckie kadryla ze sobą tańcować. Przekonaliśmy się, że w żadnej części świata tak olbrzymich miotów brać niemożna, to też pogonka widziała siedem danieli, ale te oczywiście wyszły bez strzału. Braliśmy potem mioty mniejsze. Pogonka tutejsza sprytna, chętna i pojętna, po dwudniowem, nieznanem jej dotąd polowaniu, zorganizowała się wzorowo i mogła już współzawodniczyć z najlepszą pogonką europejską. Pomimo wrodzonej wesołości i hałaśliwości ludności tutejszej, cicho brano mioty z wzorowym porządkiem. Braciszek Lambert z tutejszego konwentu, zapamiętały myśliwy, towarzyszył nam zawsze, tę miał jednak wadę, że nigdy strzelby niemiał przygotowanej do strzału, gdy tego potrzeba wymagała. I tak, siedząc dziś w jednym miocie pod skałą, miał fatalną przygodę, że daniel przez tę skałę i przez niego przeskoczył, gdy on był zajęty robieniem cygarety a strzelba na ziemi leżała. Zabiłem zająca i lisa zupełnie odmiennego od lisów naszych, jest bowiem o wiele mniejszy i barwy bardziej przypominającej szakala, a po środku kity ma czarną centkę. Drugiego podobnież lisa silnie postrzeliłem, a w chwili gdy noszący moją drugą strzelbę chłopiec miał go podnosić, zwierz się zerwał, powlókł się dalej, aż dobił go strzelec Hulimki. Brzostowski zabił zająca i 4 wiewiórki, także zupełnie odmienne od naszych, są one szaro-żółtawe, podobne do koszatek, i mają ogon całkiem płaski. Widzieliśmy jeszcze dzika, ale nikt do niego nie strzelił, a powracając zabiliśmy kilka okazów rozmaitych drobnych ptaków do zbiorów pana Janowskiego.

Dnia 17 Marca fatum jakieś zaciężyło nad nami. Bogini Diana widocznie odwróciła od nas swoje oblicze. Nasz zastęp myśliwski z wyćwiczoną przez nas pogonką wyruszył dodnia w dąbrowy na daniele. Nieoceniony przełożony konwentu towarzyszył nam także na koniu, ale bez broni w ręku, bo

ten gościnny nasz chlebodawca, chociaż niemyśliwy, wszelkich starań dokładał, by nam uprzyjemnić pobyt w tych górach, i żywy brał udział w polowaniu. Braciszek Lambert także był z nami na osiołku. Wyjechawszy na dąbrowę ujrzeliśmy zaraz na bazaltowem wzgórzu wielkie stado antylop, jak sądzę było ich z kilkanaście sztuk, a więc natychmiast okrążyliśmy wzgórza, i rozstawiliśmy się aż ku dolinie. Ja miałem stanowisko już w dębowych zaroślach. Pogonka przegonić miała to kamieniste wzgórze, w kształcie głowy cukru wulkaniczną siłą wypędzone z doliny, i zaledwo tylko ruszyła, całe stado antylop pędem ruszyło wprost na moje stanowisko. Były już o paręset kroków odemnie, a serce mi biło tak silnie, żem słyszał wyraźnie każde jego uderzenie. Przysłowie mówi:

„Zła żona, zły sąsiad i diabeł trzeci,
Jednej matki dzieci“.

Otóż i ja widać miałem przy sobie jedno z tych złych dzieci tej matki, bo złego sąsiada, a był nim strzelec Hulimki. Widząc idące na mnie antylopy, porwany jakimś szalonym i nielogicznym nawet zapałem myśliwskim, począł ze swego stanowiska wprost na sztych podbiegać, i tak odwrócił je na powrót na pogonkę. Żalu za wyrządzone mi krzywdy długo w sobie żywić nieumiem, ale krzywda podobna wyrządzona myśliwemu, mimowolnie na długo utkwi w pamięci. Mniej miałbym żalu za przypadkowy postrzał (oczywiście drobnym śrótem), niż za taki niemyśliwski czyn i prawdziwą obrazę zakonu św. Huberta. W następującym miocie, za winę sługi, mściwa Nemezis ukarała samego pana, i tak na Hulimkę znowu stado antylop na sztych wychodziło, gdy wtem jakiś Turkoman turysta, podróżujący z żoną, dziećmi, osiołkami i wielbłądem, ten właśnie miot za cel podróży sobie obrał, i wpadł wraz z rodziną i całym swoim żywym inwentarzem między Hulimkę i antylopy. Oto druga przygoda nasza! Wzięliśmy znowu miot, w którym ruszono kilkanaście danieli, ale te nie wyszły wcale na strzelców. Braciszek Lambert tylko chybił do szakala, a ja zabiłem zająca. Przegoniono potem miot, w który udały się daniele i niepojętem zrządzeniem losu Janowski znany przyrodnik, zapomniał o tej kardynalnej zasadzie w przyrodzie zwierza, że zwykle wychodzi z miotu, w którym jest gonionym, a nie na odwrót. Otóż usiadł on za grubym dębem, plecami obrócony do miotu, i po za tym właśnie dębem, a więc po za jego plecami, przeszły na kroków kilkanaście dwa wielkie daniele, oba stare łopatacze. Ponieważ tylko bożek Janus w mitologii ma oczy z przodu i z tyłu głowy, pan Janowski na czas danieli niespostrzegł i w skutek tego bez rezultatu musieliśmy powrócić do domu. W monasterze zastaliśmy na dziedzińcu rozbity piękny biały namiot z flagą angielską. Podczas naszej niebytności przybyli tu dwaj Nemrodzi Anglicy, którzy własnym swoim statkiem zawinęli do Alexandretty, i mieli zamiar udać się na polowanie na niedźwiedzie w góry Giaur-dagh. Przy wieczerzy poznaliśmy tych panów, jeden z nich Sir John Baird ze Szkocyi, człowiek bardzo miły, wykształcony i namiętny myśliwy, który odbywał już polowania po wszystkich częściach świata. Zamiłowany przytem bardzo zoolog, i o ile mogłem osądzić bardzo biegły w swoim zawodzie, po francusku mówi doskonale. Towarzysz jego, istny Anglik *de comédie*, nieruchomy, jak ptak wypchany i nieznający innej mowy, prócz mowy Albionu. Nudzić się musiał podczas wieczerzy, jak nie myśliwy na stanowisku, rozmówić się mógł tylko ze swoim towarzyszem i ze mną, bo ogólna rozmowa toczyła się po francusku. Pokazywali nam ci panowie swoją broń. Składała się ona z czterech sztućców express z Londyńskich fabryk. O cnocie tej broni sądzić oczywiście nie mogę, ale przekonany jestem, że sławna maczuga Herkulesa o wiele lżejszą i zgrabniejszą być musiała od tych arcydzieł Lancastra. Tę jedną korzyść tylko posiada broń tego rodzaju, iż każda pojedyncza strzelba kosztuje o wiele więcej, niż folwark na Mazurach wraz z inwentarzem całym.

Dnia 18 Marca udaliśmy się z naszymi nowymi towarzyszami z Albionu na polowanie na daniele. Bogini Diana odwróciła znowu od nas swoje oblicze i rzuconej na nas klątwy nie zdjęła. Komiczne są bardzo przeprawy nasze przez rozmaite górskie strumienie, a takie przeprawy po kilka razy na dzień u nas się odbywają. Przez szumiący potok myśliwi przyjeżdżają konno, innych porywają nasi Syryjczycy mukry w swe silne ramiona, i jakby niemowlęta na drugi brzeg przenoszą. Służący naszych Anglików, niemając konia, na grzbiecie mukra silnego, lecz średniego wzrostu, odbywał przeprawę, a sam był wzrostu niesłychanie słusznego. Niewiedząc mimo swego praktycznego angielskiego rozumu, iż w podobnych razach koniecznem jest podnieść nogi do góry, jeśli się je niechce zamoczyć, syn Albionu odrazu zaczął po wzburzonych nurtach wiosłować swojemi nad wszelką miarę długiemi nogami, a zsuwając się coraz niżej z grzbietu mukra, zakończył swoją przeprawę przez rzekę Prissnitzowskim sitzbadem. Po pierwszych kilku miotach, w których niezastaliśmy szukanej przez nas zwierzyny, ujrzeliśmy na obszernej łące pasących się sześć danieli, śród nich były dwa piękne łopatacze, wielkości prawie naszych jeleni. Oskrzydliliśmy je szczęśliwie, a pogonka je zabiegła wybornie, całe to stado zbitą kolumną wyszło na naszego Anglika pana John Baird na kroków kilkadziesiąt, i na czystej łące stanęła przed nim ta czereda cała. Kula jego ciężkiego instrumentu, z którego jak mówił, siedmiu lwów zabił w Afryce, poszła światami, może gdzieś do Albionu, ale ominęła całe stado danieli. Z tym Anglikiem zabawne miałem zajście. W ciągu polowania całego nie opuszczał mnie na chwilę i obarczał pytaniami najrozmaitszemi. Z pogadanki myśliwskiej przeszliśmy na tor polityczny, i przekonałem się, iż postawił sobie za zadanie mnie i moich towarzyszów w tym kierunku wybadać. Stawiał mi co chwila pytania najrozmaitsze co do topografii Syryi, jej stosunków ekonomicznych, i w ogóle rzeczy, o których byłem jak w rogu. Znękany tą inkwizycyą powiedziałem wreszcie memu Anglikowi:

„Przebacz mi Pan otwartość moją, jeśli wypowiem znowu moje zdanie co do Pańskiej podróży!“

„Bardzo proszę!“

„Oto wierzyć niemogę, ażebyś Pan jako tak wytrawny myśliwy, mógł przedsięwziąć zamysł odbycia w góry Giaur-dagh, mających kilkadziesiąt mil kwadratowych powierzchni, wyprawy na niedźwiedzie i pantery we dwóch tylko, z pańskim towarzyszem i jednym służącym, przywiezionym z Anglii i z dwoma mukrami, którzy wasze muły i konie prowadzą“.

„A dla czego?“

„Bo to by było istną niedorzecznością, a wiem, że Anglicy niedorzeczności popełniać nie lubią“.

„Więc cóż Pan sądzisz?“

„Sądzę, że Panowie przybyliście tu polować na zwierzynę inną, nie na tę, która się znajduje w górach Giaur-dagh“.

„A więc na jakąż?“

„Na nas!“

„Oh!.......“

„Tak jest: na nas! — Gdyś mnie Pan do tego upoważnił, ażebym był szczerym, będę nim do końca. Oto Panowie

niewiem już jakim sposobem, dowiedzieliście się, iż towarzystwo jakieś myśliwskie, z prowincyi polskiej, będącej pod berłem Monarchii Austryjackiej, przybyło do Syryi i wylądowało w Mersynie. Myśliwstwo jest tylko maską, pod którą się tu głębsze widoki polityczne kryją. To są agenci, może pioniery przyszłej wyprawy Austryjackiej na azyatyckie wybrzeże, wyprawy, której może jest zamiarem przeciąć na przyszłość anglikom drogę na Wschód, i tak na gruzach morskiej potęgi Anglii wielką potęgę morską dla Austryi utworzyć. Dla tego to Panowie dążycie za nami od dni kilku, niespuszczacie nas z oka, od Mersyny do Akbes nie zeszliście z tropów naszych, jak dobry wyżeł z tropu frankolina, i przybyliście aż tu za nami pod pozorem łowów na niedźwiedzie i pantery, ale powtarzam, że waszą zwierzyną — my jesteśmy".

„Jakżeś to Pan poznał?"

„Gdybym tego niebył poznał pierwej, to poznaję to teraz po pańskiem pomięszaniu i zdziwieniu! Ale bądź Pan w tym względzie spokojnym, bo honorem zaręczyć mogę, iż ci, którzy Panów wysłali, są w błędzie i Panów w błąd wprowadzili. Żadnej missyi politycznej niemamy na oku, jesteśmy tylko myśliwskiem towarzystwem. Wierz mi Pan lub nie wierz, ale raz jeszcze daję Panu na to słowo honoru. Czy pojedziesz Pan jeszcze polować na niedźwiedzie i pantery w Giaur-daghu?"

„Nie. — Jutro powrócę do Alexandretty, zkąd moim statkiem odpłynę do Egiptu", — odpowiedział mi na to Sir John Baird, prawdziwy gentleman angielski uścisnąwszy serdecznie moją dłoń. W tem niemem uściśnieniu mieściło się słów wiele, ale te wygłoszonemi nie zostały i wygłoszonemi nigdy nie będą. W jednem uściśnieniu dłoni nieraz cały poemat leży, ale lepiej go nigdy piórem niedotykać. W poprzednich miotach zabił Brzostowski szakala i zająca, braciszek Lambert aż dwa zające, co mu się podobnoś pierwszy raz w życiu wydarzyło, poznaliśmy to po jego niewidzianej radości. Ja także zabiłem zająca. Te zwierzęta mnie w Azyi prześladują tak, jak gdybym ich dość niemiał w Europie! Na polowaniach tutejszych miałem nieodstępnego towarzysza, może trzynasto-letniego chłopca Araba, który zawsze przy mnie stał na stanowisku i trzymał mój sztuciec w odwodzie. Niepojęty jest spryt tych dzieci tutejszych. Przekonany jestem, iż naszego chłopca rusina albo mazura w ciągu trzech miesięcy niezdołałby nikt za pomocą nawet jego narodowej mowy wyuczyć tego, co ja rozmawiając na migi w trzech dniach tego chłopca wyuczyłem. Sygnalizował mi po mistrzowsku każdą nadchodzącą zwierzynę, a z bronią tak się nauczył obchodzić, jak gdyby z zawodu był rusznikarzem. Dwa przezemnie postrzelone zające doszedł i przyaportował, jak gdyby był Gordon-Setterem lub ułożonym przez Mariabrunnera Schweisshundem. W ogóle spryt tutejszej ludności pod każdym względem w zachwyt mnie wprawia. Nasi Anglicy, którzy tu wybrali się na łowy, tak jakby ktoś chciał na Ocean wypłynąć z wędką na wieloryba, we dwóch tylko bez znajomości języka i okolicy, sami poznali w obec nas niedorzeczność takiej wyprawy. Sądzę, że moja rozmowa z Panem John Baird niemało się do tego przyczyniła, dość że to „fiasco angielskie" skończyło się szybkim odwrotem ścigającej nas albiońskiej wyprawy, która zamiast w górę Giaurdagh wybrała się napowrót przez Bejlan do Alexandretty.

Dnia 19 Marca. — Nasi Anglicy zaniechawszy dalszego polowania na niedźwiedzie, na pantery i na nas, pośród strasznej burzy z deszczem i śniegiem opuścili Akbes. Wszystkie góry do koła przystroiły swe szczyty w białe, śniegowe turbany, niebyło więc sposobu wyjść z pod strzechy. Przez dzień cały robiłem rozmaite szkice do mego albumu, i z tego powodu spotkał mnie zaszczyt odwidzin rozmaitych dygnitarzy Akbesu, którzy mnie prosili o swoje portrety. Nie jestem bynajmniej rysownikiem, a więc jako nieuk naszkicowałem kilku z nich ołówkiem. Ci ludzie prości o rysunku oczywiście pojęcia niemają, i moje bazgraniny wydawały się w ich oczach arcydziełami takiemi, jakiemi są u nas prace Matejki lub Siemiradzkiego. Radość ich była niezmierna, gdy się wzajemnie na nabazgranych przezemnie portretach poznawali. Przy charakterystycznych rysach, cechujących ludność tutejszą, uchwycenie podobieństwa nie jest rzeczą trudną, skoro taki jak ja dyletant i partacz zdołał te podobieństwa uchwycić. Jak to łatwo czasem małymi środkami ludziom radość sprawić! Dygnitarze rozmaici z włości, należących do parafii w Akbes przybyli, oświadczyli nam za pośrednictwem przełożonego konwentu Ojca Destino, iż wiedzą już o tem dobrze, żeśmy tu przybyli, ażeby ich kraj zająć, i dla tego to zawiązaliśmy z nimi przyjaźne stosunki. Chętnie się oni na to zgadzają i oddają się nam z ufnością. Wolą nas niżli wszystkich cudzoziemców, których tu dotąd widzieli, bo jesteśmy dla nich grzeczni i uprzejmi, i do ich serc przez to umiemy trafiać. Pod żadnym jednak warunkiem dostaćby się nie chcieli pod panowanie Anglików, którzy są sztywni, niemili, i umieją wyzyskiwać na swą korzyść dobrą wiarę poczciwych ludzi. Jak też to czujne oko rządów Albionu tę ewentualność nawet przewidziało, czego dowodem myśliwska wycieczka Pana John Baird. A my — towarzysze myśliwi — jakąż piękną rolę polityczną bylibyśmy mogli odegrać w Syryi!!....

Dnia tego przybył do Akbes myśliwy „Panternikiem" zwany, bo specyalista do polowań na pantery. Jest on rodem Ormijanin, mieszka w górach o dzień jazdy od monasteru. Zapewnił on, iż nas zaprowadzić gotów w okolicę, gdzie się roją daniele, i pantery nie są rzadkie. Sam zabija ich kilka do roku, w ogóle utrzymuje się głównie z myśliwstwa. Zbyt wielka była to dla nas pokusa, gdy widoki nasze polowania na grubego zwierza w Bulgar-daghu spełzły na niczem, zapragnęliśmy z tej ostatniej jeszcze skorzystać sposobności, i postanowiliśmy przedsięwziąć tę trudną i uciążliwą wyprawę.

Dnia 20 Marca wyruszyliśmy wszyscy konno, oprócz braciszka Lamberta, który wierny pozostał swemu osiołkowi, wyładowanemu do niemożliwych rozmiarów tak, że braciszek siedząc na szczycie swoich bagażów wyglądał na nim jakby sęp na skale. Panternik Ormianin prowadził naszą wyprawę i po całodziennym marszu bardzo uciążliwym przez pustynię i przez skaliste stoki gór stanęliśmy późno wieczorem we wiosce Antilli. Jestto miejscowość fantastycznie zawieszona na stoku stromej góry. Po drodze Kara Audżi zabił słonkę, a Brzostowski kuropatwę. Nocowaliśmy w pomieszkaniu Panternika, który nas o ile mógł, jak najgościnniej przyjął, ale tu rzec można tylko było: „Czem chata uboga tem rada", bo o bagactwie chaty mowy być niemogło. Przedstawił nam Panternik naprzód swoją rodzinę, składającą się z żony bardzo brzydkiej i brzydszego jeszcze pół tuzina dzieci. To nas bynajmniej niezachwyciło, ale zajęła nas bardziej jego psiarnia. Składała się ona także z pół tuzina kundysów żółtych, bardzo ładnych i niesłychanie zajadłych. Z tymi to psami nasz Panternik wszystkie swoje myśliwskie odbywa wycieczki. Pokazywał nam dwie skóry ze świeżo przez siebie zabitych panter, i przekonaliśmy się oglądnąwszy dokładnie te skóry, iż jedna z nich padła bez strzału i tylko przez psy zagryzioną była. Dla psiarni naszego Panternika jestto najpiękniejsza reklama! Nocleg odbyliśmy w stajence, która była zarazem salonem,

*

jadalnią i buduarem żony naszego gospodarza. Ogień płonął przez noc całą po środku tego salonu, i usnęliśmy nareszcie pomimo wycia szakali, beczenia kóz, owiec i chrapania towarzyszów naszych.

Dnia 21 Marca. — Wyjechaliśmy z Antilli. Po czterogodzinnym pochodzie, podczas którego nasi towarzysze kroczyli spokojnie na grzbietach swoich wierzchowców, a ja tylko i Kara Audżi przebiegaliśmy okoliczne zarośla w nadziei ruszenia jakiegokolwiek zwierza. Przechodząc przez pustynię, około podniosłego wzgórza, Kara Audżi zatrzymał karawanę całą, i zwrócił naszą uwagę na przedmiot, który w istocie do najciekawszych zaliczyć muszę. Na pagórku, jakąś dziwną, prawdopodobnie wulkaniczną wypędzonym siłą, sterczały bazaltawe kolumny. Zbiegliśmy się wszyscy, i oglądaliśmy te cuda. Z białego marmuru posadzka tworzyła podstawę tych zwalisk, które prawdopodobnie niegdyś były jakąś świątynią lub pałacem, a nad tą posadzką sterczące kolumny bazaltowe ozdobione były najciekawszemi assyryjskiemi płaskorzeźbami. O! gdybym był archeologiem! Jakże ciekawe o tem czytelnikom naszym mógłbym dać sprawozdanie! Tak nie jest niestety. Przyznałem się do nieuctwa w tej mierze, a więc proszę mnie niepotępiać, jeśli powiem po prostu, że na tych cennych zabytkach starożytnych czasów ujrzałem tylko bardzo starannie wykonaną rzeźbę jelenia podobnego do smoka, drugą zaś smoka podobnego do jelenia, a na odłamie olbrzymiej kolumny wizerunek dwóch Assyryjczyków, bardzo podobnych do Chińczyków, z których jeden drugiego pięścią w kark uderza. Kara Audżi mi wytłómaczył, iż ten ostatni obraz przedstawia prowadzenie na śmierć winowajcy jakiegoś, bo ten, który kolegę swego w kark bije, jest katem, trzyma bowiem w ręku miecz i harap, a ofiara ma sznurek na szyi. Widać, że już Assyryjczycy przeczuli istniejącą dziś u nas w Europie zasadę: „Siła przed prawem“. Lubo nie jestem badaczem starożytności i nieznam się na nich, wyznać muszę, że te zabytki nadzwyczaj mnie zaciekawiły. Nikt tu o nich dotąd niewiedział i przypadkowo przez jakichś pasterzy wykopane zostały. Pragnąłem kilka z tych pomników naszkicować, ale na to niebyło czasu, mieliśmy bowiem bardzo jeszcze długi pochód przed sobą. Urozmaiciło nam podróż oryginalne, przypadkowe polowanie. Przed końmi naszymi pomknęły naraz z zarośli aż dwa szakale. Psy nasze puściły się za nimi w pogoń, i rozdzieliły się tak, iż dwa pobiegły za pierwszym, a cztery za drugim szakalem. Byliśmy świadkami zabawnego karuzelu, który się odbywał przed nami na stoku nagiego, skalistego pagórka. Trzy kundysy naszego Panternika poczęły dawać obroty szakalowi, który wedle swojej możności stawiał im mężny opór, gdy wtem nadbiegł czwarty kundys, biały, najzajadliwszy. Zrównawszy się ze zwierzem, schwycił go za gardło, i obalił na ziemię z taką siłą, że w jednej chwili pod łapami jego ujrzeliśmy trupa drgającego tylko szakala. Drugi zaś pomknął ścigany przez psy za pagórek, i niewiemy, co się z nim stało, ale gdy ścigające za nim dwa psy nareszcie powróciły z dobrą miną, oblizując się ustawicznie, zaręczył nam Panternik, że i drugi szakal z pewnością schwytanym został. Woleliśmy mu wierzyć na słowo, niż rzecz sprawdzać, bo toby było zabrało z godzinę czasu, a spieszno nam było na miejsce przeznaczenia. W ciągu dalszym naszego pochodu Brzostowski zabił pięknego jastrzębia wężownika.

Przeszliśmy potem pieszo pasmo stromych nagich skał, a karawana nasza objeżdżała je dołem. Sztuciec mój był przytroczony do siodła mego wierzchowca, a iglicówkę miałem w ręku. Panternik, który szedł przy mnie, wskazał mi bardzo liczne stado antylop, i oświadczył, iż mnie do nich doprowadzi na strzał. Niebyło już czasu oglądać się za sztućcem, który Bóg wie jak daleko pozostał z karawaną, a więc z iglicówką nabitą śrótem poszedłem za Panternikiem. Było w stadzie około 30 antylop, i te, zakryci oleandrami, mirtami, podeszliśmy na jakie 140 kroków. Panternik pełzał jak wąż po ziemi, a ja za nim pełzałem. Cóż to był za idealny strzał na mój sztuciec express! ale ten niestety został przy bagażach! Miałem tylko śrót w strzelbie, byłoby niedorzecznością strzelać na taką odległość. Antylopy nareszcie pomknęły i oczywiście uszły bez strzału.

Przed nami rozciągał się na wzgórzach sosnowy las, który miał być siedliskiem danieli. Rozstawiliśmy się na szczycie góry, a psy z dołu puszczono. Kundysy Panternika prawie wcale nie dają głosu, odezwały się tylko parę razy i wygnały na linię strzelców daniela, do którego chybił Kara Audżi. Stado z kilku danieli złożone wypadło na jednego ze strzelców, który psy prowadził, ale Arab chybił je także swoim zwyczajem. Gorszych strzelców od Arabów nie ma na świecie! Rozczarowani dzisiejszem polowaniem, udaliśmy się na nocleg do wsi. Wieś ta zowie się: „Katrandzilar“. Jest zamieszkałą przez muzułmańską sektę zwaną „Jezydy“, którzy są „czcicielami czarta“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MATERYAŁ DO DZIEJÓW WĘDRÓWKI NIEKTÓRYCH GATUNKÓW PTACTWA

PRZEZ

Karola Brzozowskiego.

(Ciąg dalszy).

Wyjąwszy wczesne te pochody, o których mowa, przez wyłomy w pasmach gór, wszystkie inne przepiórki dążą z północy do morza Czarnego i Marmory, trzymając się wybrzeży, i skracając sobie drogę wprost lotem przez wielkie zatoki, obchodzą długie pasma poprzeczne najwyższych gór Rumelii i Anatolii. Rzecz prosta, że cieśniny morskie jak Bosfor i Dardanelle muszą być głównymi strategicznymi etapami dla ciągnącej przepiórki, sławnem też jest Bujuk-dere, San Stefano, Aia-Mama, Gallipoli z przeciągów przepiórek. Bogaci niedzielni strzelcy Pery najmują sobie mieszkania w jesieni i na wiosnę w St Stefano i co dzień o świcie wylewają się na pagórkowate obszerne pola, ciągnące się ku jezioru Kiucziuk-Czekmedżi. Mając jakiś czas zarząd Alibej-Kej i Aia-Mamy, sułtańskich czyflików, z bliska przypatrzyć się mogłem polowaniu i mieć wyobrażenie o ciągu przepiórek. Co noc od jedenastej godziny poczynał się przelot oznajmujący się chrapaniem prze-

wodników (po turecku *kałauz)*, im więcej ich się odzywa, tem liczniejsze wędrownice. Nadedniem samym nawoływanie przewodników obchodzi strzelca, bo tylko zachwycone świtem zapadają przepiórki, i z góry zapowiada: dziś będzie ogień, kałauz szedł gwarno a szeroko, lub: nie ma po co wychodzić, kilku ledwie słyszałem przewodników. Przepiórki znacznie przededniem chrapiące przeszły po nad San Stefano, puściły się przez morze w kierunku zachodnim, aby zapaść gdzie na brzegu, rozdzielając tym sposobem na parę etapów przebycie morza, lub poszły wprost na wyspy Książęce i Marmora, aby dostać się do Dardanel. O świcie strzelcy ze San Stefano już w długiej na kilka tysięcy kroków linii wyciągnięci, z wyżłami rozsiedli się i czekają, aż rozwidni się tak, że można strzelać. Padł pierwszy strzał — i zaczyna się ogień tyralierski kilkuset strzelb nadzwyczajnie gęsty, posuwa się naprzód, przechodzi Aja-Mamę, rzednieje i kona. Dalej za Aja-Mamą nie ma po co chodzić, tu się kończy pas przepiórczy. Nieszczęśliwe wędrownice, które tu świt zaskoczy! Rzadko z nich która się ocala, chyba ta, co kilka razy chybiona, zdołała się schronić w małej sułtana winnicy, gdzie jej nikomu ścigać nie wolno. Opuszczony przez strzelców teren z ciekawości przebiegałem z wybornym wyżłem i nigdy nawet jednej przepiórki znaleźć nie mogłem.

Innego rodzaju spotkanie czeka przepiórki przybywające od morza i zapadające na jego wybrzeża. I tam, przed świtem na skałach rozrzuceni myśliwi, nie ze strzelbami, bo to za drogo, ale z krogulcami (atmadżia) i z sieciami, wpatrzeni w morze, zdaleka widzą zbliżające się przepiórki, większemi lub mniejszemi stadami; te zaledwie zapadną, zanim zdołają rozsypać się, już otoczone są siatką, lub ścigane krogulcami, co każdą wypłoszoną przepiórkę biorą, niedawszy jej czterdziestu kroków ulecić.

Wzdłuż południowego wybrzeża Czarnego Morza, w czasie jesiennego przeciągu tysiącami set chwytane przepiórki, na żaglowych barkach, w ogromnych klatkach przychodzą do Stambułu.

Cóż to za klęski, przez które biedny ptak przechodzić musi, — i ile go już pada, gdy ledwie zaczął swą długą do cieplic drogę!

Około Dardanel rozszczepia się wielki szlak przepiórek: jedne idą wybrzeżami Aziatyckiemi, okrążając długie a wysokie i śniegiem pokryte gałęzie gór T a u r u s u; inne idą etapami przez wyspy Archipelagu; inne nareszcie przez Tessalię, wzdłuż Epiru i przez morze przebierają się do Egiptu i Jemenu, — wszędzie dziesiątkowane przez człowieka, zachwycane przez burze, co całemi je stadami zatapiają w falach morskich. Dochodzą nareszcie do cieplic i rozlewają się po szerokich przestrzeniach, gdzie ludność mniej gęsta rozproszone nie tyle niepokoić może. Jednakże i tu, w pobliżu miast i żelaznej kolei, fellach je łowi i handel niemi prowadzi. Ile razy zdarzyło mi się w zimie być w Aleksandryi, zawsze na parowcach widziałem pokłady zajęte upiętrzonemi klatkami przepiórek, których tysiące szły do Włoch i do Marsylii.

Krwawy jest i odwrót przepiórki do rodzinnych krajów, chociaż na wiosnę wysoko już podniesione zboża pewniejszym są dla niej przytułkiem. Z zanadto wielkiemi szkodami połączone jest polowanie i zysk za mały, aby dlań deptać posiewy; jednak są okolice, gdzie nawet i zboża, choćby nawet najbujniejsze, nie bronią przepiórki, której dla tego przelot wiosenny jest plagą dla tamtejszego rolnika. Sta miejskich darmozjadów, na parę tygodni przed ciągiem włóczy się po ulicach Latakii z krogulcami w ręku, układa je i czeka na przepiórki. Gdy się pojawią, nie ma pola, przez które nie przeszło kilku sokolników wiejskich i miejskich, co nietylko wydeptują zboża ale i niszczą je kijem, którym uderzają, często po wykłoszonym już siewie, aby wygnać ptaki. Niszczenie to zbóż oburzało mnie zawsze i nieraz podbuntowałem Kaimakama przeciw sokolnikom, słusznie dowodząc, że jego to obowiązkiem jest bronić od szkód rolnika a nawet sam rząd, który traci na dziesięcinie. Wychodziły zawsze z góry surowe rozkazy, przez parę dni wysyłano konnych żandarmów, zabierano krogulce, ale najdalej czwartego dnia wszystko szło po dawnemu. Jakże może być inaczej kiedy żandarm krogulczarz, oficer jego krogulczarz i kady, mufty i mołła, a często i sam Kajmakam krogulczarz!

Odtylcówka w ręku wprawnego strzelca nie tyle jest straszna dla przepiórki co krogulec, rzadko którą chybiający (widywałem w parę godzin po kilkadziesiąt branych jednym ptakiem); łatwo więc wystawić sobie rzeź, którą ciągowi przepiórek wyprawiają sokolnicy i dziwić się wypada, że pomimo tego strasznego, dwa razy na rok powtarzającego się zniszczenia, ród przepiórczy nie zdaje się umniejszać. Jaka musi być płodność tego ptaka, co w Mojżesza czasach cały lud wędrujący żywił na pustyni, aby mogła zrównoważyć nowem pokoleniem nieobliczone ubytki każdego roku!

Biedna przepiórko! dla ciebie para miesięcy na rodzinnej ziemi, gdzie po łąkach i zbożach przy wtórze chruścielowego derkotania ożywiasz miłym głosem letnie noce nasze, a potem ostrzegasz rolnika nawoływaniem: *„pójdźcie żąć! pójdźcie żąć!“* że żniwo się zbliża; tam gdzie „za uciekającą w proso, pędzi nieboraczek boso — ale idzie pytać się jeszcze pani matki, czy wolno przepióreczkę chwytać“, dla ciebie krótkich ta para miesięcy na naszej ziemi zamyka w sobie całą szczęśliwą twoją epokę miłości, roskoszy macierzyńskich, za któremi zaraz idą w ślady ciężkie trudy, nędze długich pielgrzymek i tysiące morderców, czyhających na ciebie na każdym twoim kroku! Biedna przepiórko! niechaj ci niezazdroszczą opasłe na jednem miejscu sojki twoich podróży i cieplic i szerokich twoich wiadomości geograficznych i niechaj zamiast wybierać się za morze, dziękują opatrzności, że im pozwolił rodzić się i umierać na ziemi rodzinnej.

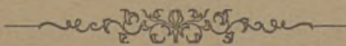
Francuzi i myśliwi w Syryi, mówiący ich językiem, nazywają chruściela (derkacza) k r ó l e m p r z e p i ó r e k *(roi des cailles)*, a w wielu okolicach Turcyi wieśniak zowie go ich p r z e w o d n i k i e m. Czy derkacz jest królem lub tylko przewodnikiem przepiórek, bardzo o tem wątpię, bo nie mam na to żadnego dowodu, że się miesza z niemi w swoich pochodach. Zapada na tych samych ulubionych od przepiórek miejscowościach, idzie jednemi z niemi drogami, nic więc dziwnego, że polując na przepiórki, z krzaków i zbóż wypędzi się tu i owdzie i chruściela. Z doświadczenia strzelcy i sokolnicy w Syryi wiedzą, że gęsto spotkany chruściel zapowiada im koniec przelotu przepiórek. Przez kilka dni z rzędu około 10 Maja ciągnie chruściel gęsto i wbrew swemu zwyczajowi mniej twardo siedzi od przepiórki, daje się nawet bez psa wypłaszać z gęstych krzaków. W jesieni pojawia się w Syryi co rok, ale rozstrzelony i stosunkowo rzadki, często nawet zdarza mu się przezimować w gąszczach mirtowych nad strumykami. Widać z tego, że jesienna jego droga do cieplic nie tędy idzie i że tylko nią wraca na wiosnę i wtedy zdumiewająca jest jego liczba. Nie jest chruściel cenionym od krogulczarzów, którzy wolą przepiórkę, niż jego i dla tego z pomiędzy ptactwa przelatującego, on może jeden najmniej cierpi od człowieka w pochodach swoich. Czy nie spotykają go innego ro-

dzaju klęski, tego nie wiem, ale sądzę, że przy długiej drodze i ciężkim jego locie, obejść się bez nich nie może.

Wcześniej jeszcze od przepiórek odlatuje z Polski turkawka, a że jest może jeszcze więcej od nich czułą na zimno, do tych samych dąży cieplic i prawie temi samemi do nich drogami idzie. Turkawka ma jeden z najszybszych lotów, silnie doń zbudowana przebywa w krótkim czasie wielkie przestrzenie, ale za to ciągnie tylko w dzień, a że przytem jest i żarłoczną, przeto pielgrzymka jej trwa długo. — O ile sobie z czasów młodości mojej przypomnieć mogę, turkawka jest u nas dosyć rzadką; jak daleko na północ zachodzi, nie wiem. Zwykła trzymać się rzek, lasków nad niemi, przerywanych rolami. Ulubionymi krajami turkawki są Rumelia i Anatolia. Tam, od pierwszych dni Maja począwszy, lasy nadrzeczne i wszelkie zarośla nad strumieniami rozlegają się jej gruchaniem, które od wschodu do zachodu słońca nie ustaje. W skwar południowy turkawka skryta w gęstwie liści, na gałęzi drzew nad wodami, sama jedna wtóruje krzykliwej muzyce skoczków, i że tak się wyrażę, gruchaniem swojem chłodzi żar dzikiej melodyi, wybuchającej z przepalonej słońcem trawy. Nawet z krajów daleko cieplejszych od Polski, wcześnie turkawka uchodzi przed zimą. Zaledwie wychowa młode pokolenie, które dość długo jest niedołężne i potrzebuje być przez rodziców karmionem, zbiera się w znaczne stada i zwolna posuwa się na południe. Na szczęście turkawki, strzelec miejscowy oszczędny nie wiele jej sprawia klęsk, inaczej w podróży swej powolnej wystawioną byłaby ua straszne przedziesiątkowanie. Jednakże w bliskości wielkich miast, a mianowicie w Syryi, i turkawka płaci wielki haracz krwi. Setki strzelców zasadzają się pod wysokiemi drzewami w budkach i korzystają z natury ptaka, który z miejsca na miejsce przelatując za żerem, lubi się zatrzymać choćby pół minuty na gałęzi drzewa. Tę krótką chwilę wypoczynku często przepłaca śmiercią, mówię często, bo na szczęście turkawczego rodu nie Telle siedzą w budkach. Zasadzają się na turkawkę ci sami myśliwi, którzy dnie całe przepędzają w półmorgowym figowym ogródku i z dziecinnej strzelbinki gromią bekfigi, nie większe w całem swem opierzeniu od myszy. W Syryi Alep słynny jest z Nemrodów, pogromców turkawek i bekfigów. Przypominam sobie, prezentowany byłem raz przez myśliwych Alepskich królowi ich oworocznemu, zazdroszczono mu wysokiej cyfry 1250 bekfigów i przeszło dwiestu turkawek. Od początku Października przeciągają bardzo liczne stada turkawek przez Syryę, zatrzymując się wszędzie wzdłuż strumieni, bo ptak ten, jak wspomnieliśmy żarłoczny, co chwila wody potrzebuje. Turkawka zapada na żer stadami, ale szeroko bardzo się rozkłada i chociaż ciągłem gruchaniem i częstem podlatywaniem do góry i zapadaniem do gromady, jak grzywacz, zdradza swoją bytność, wynagradza jednak tę nieprzezorność wielką ostrożnością. Nie na wiele przyda się odkrycie stada turkawek myśliwemu, jeżeli nawet zejdzie je bliżej, rzadko wypatrzy dwie na strzał od razu, a raz spłoszone strzałem stado idzie bardzo daleko. Najlepsza metoda polowania jest ta, którą przyjęli Alepscy Nemrodowie. Ptasznicy, nie słyszałem tu nigdy, żeby łowili turkawki w sieci, chwytają ich jednak znaczną ilość na gałązki lepem osmarowane, które, znając obyczaj ptaka rozkładają po suchych konarach wysokich drzew, pojedyńczo stojących w polach lub nad wodami. Z pewnością Syrya posiada najlepszy dotąd znany mi lep, bardzo się długo przechowuje, nie wiele tracąc ze swoich przymiotów, a siłą swojej lepkości przechodzi wszystkie tego rodzaju europejskie wyroby. Lep Syryjski wyrabia się z jagód wielkiego drzewa Karia Myxa, niewiadomo mi, skąd sprowadzonego, ale szeroko dziś rozpostartego po wszystkich ogrodach. Jogoda wielkości sporej czereśni zebrana w rozpierzchłe grono, okrągła, przezroczysta, bardzo podobna jest treścią swoją do jagody jemioły. Ptactwo nawet większe, jak na przykład gołąb', od gałęzi drzewa lepem Karyi posmarowanej oderwać się nie może. Polując raz ujrzałem na niskiej krzewinie siedzącego orła, z wszelką ostrożnością podchodziłem i mając go już na strzał pewny sądziłem, że najlepiej iść wprost na niego, dopóki się nie zerwie. Odkryty zupełnie zbliżyłem się na kroków najwyżej dwadzieścia, ptak wyraźnie był niespokojny, ale się nie zrywał, aż nareszcie znaglony niebezpieczeństwem rzucił się w powietrze. Złożyłem się szybko, ale nim zdążyłem wziąć go na cel, orzeł upadł na ziemię i uciekał pieszo. Wtenczas dopiero spostrzegłem, że pomiędzy ramionami miał patyk osmarowany lepem, który tak mu na poprzecz związał skrzydła, że ich pomimo wszelkich wysileń rozwinąć nie mógł. Widać, że skusiła go na ów patyk wzięta turkawka, a nieostrożne obejście się ze znalezioną zdobyczą przyprawiło go o największe, jakie go spotkać mogło nieszczęście. O lepie tym wspominam dla tego, że nań chwytają w Syryi mnóstwo drobnego ptactwa, szczególniej na wiosnę, a wśród niego wiele z gatunków znanych mi z gajów i sadów Polski. Wybrzeża morza śródziemnego, doliny Eufratu i Tygru są wielkimi szlakami pochodów turkawek. Pochód jesienny jest dłuższy i zaczyna się wcześnie. Ptak ten niecierpiący zimna, nigdzie nie daje się podchwycić mrozom i nim nadejdzie ich pora, przybywa do cieplic. Pochód wiosenny trwa daleko króciej, bo zaledwie dwa tygodnie, w samym końcu Kwietnia i w pierwszych dniach Maja. Turkawek bardzo mało zostaje w Syryi, poczynają osiedlać się od gór Cylicyi i idą na północ co raz zatrzymują się gęściej, a głównem ich siedliskiem, jak to już wspomnieliśmy, jest Rumelia i Anatolia.

Grzywacz liczniej i dalej na północ zachodzący od turkawki, lepiej od niej znosi zimno i nie raz napotykałem go obficie małemi stadkami zimującego w lasach brzegów południowych morza Czarnego. Pomimo tego jednak i grzywacz ogromnemi stadami idzie daleko na południe. Syrya nie jest jego drogą do cieplic, Tyger i Eufrat są jego szlakami. Ogrody palmowe okolic Bagdadu z początkiem Października przyciągają do siebie w tak znacznej ilości grzywacze, że z nich można powziąć wyobrażenie, choć słabe, o przeciągu gołębi w Ameryce, których gromady szumią jak gradowe chmury i łamią gałęzie lasów, na których zapadają. Na szczęście grzywaczów, fellach okolic Bagdadu za mało jest przemyślnym, aby w jaki bądź sposób umiał korzystać z ich obfitego w każdej jesieni nalotu. Widuję w pewnych okolicach Syryi ku zimie mniejsze od grzywaczów gołębie w mniejwięcej licznych stadach, ale na pewne powiedzieć nie umiem, czy to są wędrowce z północy, czy też są miejscowymi obywatelami tutejszych skał, które po grotach swoich mają gołębie tak zwane skalne.

(Dalszy ciąg nastąpi).



ZWIERZĘTA ŁOWNE.

BÓBR.

(Dokończenie).

Wielokrotnie już przez nas cytowany Haur (Oekonomika ziemiańska) mówi o bobrze w następnych słowach: „Bóbr to jest zwierzę wodnoziemne, które w wodzie i po ziemi szuka swego pożywienia, z rzek stawów i z przyległych sadzawek wyplenia rybki, w lasach zaś jabłkami, gruszkami i różnymi innymi żywi się owocami, nawet od drzewa odgryzując skórki. To zwierzę ma przednie nogi jako piesek, poślednie zaś jako kaczka albo jaki ptak, zębów bardzo ostrych, sierści miękkiej i delikatnej. Kwili się i szlocha na czas, osobliwie na niepogodę, właśnie kiedy owo dziecię potrzebuje mamki dla swego pożywienia. Skóra tego zwierza im czarniejsza, tem lepiej udatna i droższa, na ziemi nie może długo biesiadować względem natury i nałogu swego, dla ogona rybiego, który rad miewa w wodzie częstokroć, ten ma smak osobliwy, więc w wierze chrześcijańskiej w post zażyć go może, albowiem część tego ogona stanie za rybę tłustą albo leszcza, który jest w sobie na łokieć długi. Bóbr gdy świśnie, zaraz wespół gromadno do lasów i na puszczę głęboką bieżą i zchodzą się, drzewa z kor obdzierają zębami i do jam swych wnoszą. Mają też między sobą porządek, gdy się z innego stada zabłąka bóbr do nich, każą mu sobie czynić posługi i robotę, wywrócą go nogami do góry, na niego skóry łupane z drzew jak na wózek nałożą, drudzy go za ogon aż do jam ciągną, że mu aż sierść w grzbiecie oblezie od tej pracy. Trafia się na czas, że na to napadają łowcowie, a zlitowawszy się nad nim uwolnią go i puszczą. Bóbr ziół gorzkich rad zażywa i za specyalny przysmak one sobie waży, i dla tegoć jego mięsiwo jest do jedzenia gorzkawe. Myśliwi gdy go łowią i szczwają, więc on na samem doganianiu wiedząc o tem, że łowcy najbardziej o jego starają się strój, odgryzuje to sobie prędko a przed ich oczy odrzuca i miota, aby na samego wzgląd mieli i wolnie go puścili. Sadłem bobrowym żyły narwane i suche smarować, także członki narwane w junkturach, jest znaczną pomocą, wielką chorobę dzieciom przypadającą smarowaniem uskramia, nawet od nagłej śmierci tem przenikającem otrzeźwia i ożywia smarowaniem. Stroje jego albo moszenka w różnych affekcyach ludzkich są potrzebne, wiatry w człowieku zatrzymane rozpędzają, głowę utwierdzają, omdlałe siły umacniają, truciznę zadaną z człowieka wypędzają, do kichania przywodzą, białogłowską chorobę miesięczną pędzą, od nagłej śmierci bronią i od wielkiej choroby zachowują, od zbytniego spania miarkują czas, od zawrotu głowy zachowują, trzęsienie także oddalają, słuch w uszach naprawiają i boleść zębów mitygują. Tenże pomieniony strój zatłumienie macice białogłowom przez różne sposoby umacnia i do skutku dobrego przywodzi, pod nosem trzymając i wąchając, pod pachami nosząc, przywiązaniem, kadzeniem od spodu nad wąglikami dobrze wprzód wypalonemi, zdrowi, czerstwi i znacznie pomaga. Skóra bobrowa wyprawiona i wdziana, do używania podagrykom i paralitykom, zarażonym bardzo potrzebna i pożyteczna. Na różne inne affekcye ludzkie wielce też skóra jest służąca, od którego to stroju *extracta olea* aptekarskie oficyny, chimikowie mają swoją osobliwą do poratowania zdrowia pomoc i remedium".

Pożywieniem bobra jest kora miękkich drzew: topoli, osiki, wierzby, iwy, brzozy, mniej olchy i dęba, również korzenie niektórych roślin wodnych. Żrą też młode pędy drzew i liście. Z twardszych gałęzi ściągają korę nader misternie, a tak czysto to robią, że na obielonej gałęzi ani śladu nie ma zębów. Nigdy kory nie ściągają z drzewa na pniu, lecz z ściętego Gdy się po żer zadaleko od wody oddalą, łatwo je nawet zchwycić można, bóbr bowiem na lądzie nieraźny. Niekiedy spożywają też świeżą trawę, pasąc się nią nader niezgrabnie, mianowicie chwytają rękami garstkę trawy, ściskając ją, i tym sposobem usiłując dostarczyć zębom czegoś mięsistszego. Do chleba, bułek, jabłek i marchwi przywykają rychło, i widzą następnie w owocach przysmaczek.

W postawie bobra nie wiele odmian. Siedząc wygląda jak wielka niekształtna masa. Gruby, krótki korpus spoczywa brzuchem na ziemi, ogon lekko na niej położony, nóg prawie dostrzedz nie można. Aby się podnieść, przyciska siedzący bóbr koniec ogona do ziemi, i dźwiga się wolniej lub prędzej, w miarę potrzeby, nie ruszając przytem żadną z nóg. Prostopadle, ale nie zupełnie, może stanąć, i wtedy spoczywa na tylnych nogach i ogonie tak pewnie, że z łatwością może dowolnie długo w tej postawie wytrzymać. Leżąc spokojnie lub we śnie wtyka ogon pod korpus, i wtedy może bez wysilenia lub poruszania członkami podnieść się i utrzymać w rozmaitych pozycyach, jak np. gdy chce się podrapać, co czyni z pewną przyjemnością, ale nigdy szybko. Gdy leży na brzuchu, wyciąga się w całej swej długości. Idąc porusza jedną nogą po drugiej, albowiem ocierający się prawie o ziemię brzuch nie dozwala szybkich i równych ruchów. W największym pospiechu wykonuje bóbr susy, które niezgrabnością i niekształtnością się cechują, i tworzą wyrzucanie naprzemian przedniej lub tylnej części korpusu. Do wody wpada z hałasem tylko wtedy, gdy jest spłoszony, w zwykłym stanie rzeczy wsuwa się pocichu. Płynąc zagłębia tylną część ciała tak mocno, że tylko nozdrza, oczy, uszy i środek grzbietu z wody wystają, nasada zaś ogona wodą bywa spłukiwana. Leży w wodzie bez najmniejszego ruchu, podnosi też często koniec ogona, który zwykle spoczywa na powierzchni, w ukośnym kierunku. Posuwanie się naprzód następuje w skutek miarowego, rzadko przemiennego poruszenia tylnych łap, kierowanie się zaś za pomocą ogona. Przednie łapy nie bywają wcale do pływania używane. Przy szybkiem zanurzeniu się uderza bóbr swemi płetwowemi, szerokiemi tylnemi łapami mocno w górę, i wyrzuca równocześnie ogon na powierzchnię wody, podnosi więc tylną część ciała, zanurza głowę, i wpada szybko w wodę prawie prostopadle. Może prawie dwie minut w wodzie wytrzymać, nim potrzeba oddechu zmusi go do wynurzenia się. Głos jest słaby, podobny najbardziej do przytłumionego jęku, daje się on słyszeć przy każdem podrażnieniu zwierzęcia. Co do zmysłów słuch i powonienie zdają się przeważać, małe oczy są dosyć zamglone, wzrok jednak i smak wcale nie są upośledzone, a równie też czucia nie można bobrowi zaprzeczyć.

Stopa władz intellektualnych bobra podlega rozmaitym

twierdzeniom, tyle wszakże należy przyznać i uznać, że w rzędzie swych krewniaków najwyższe zajmuje miejsce. Łatwiej jak każdy inny z gryzoniów oswaja się z swem nowem położeniem, i wyciąga z niego dla siebie korzyści, bardziej też jak inny, rozważa przed czynem, wnioskuje i działa konsekwentnie. Że bóbr jest myślącem stworzeniem, najlepiej dowodzi sprawozdanie urzędu leśnego w Wittingau: „Strumień, w którym tu bobry żyją, przechodzi przez staw co kilka lat wyławiany. Wtedy spuszcza się cała woda, a strumień jest przez kilka dni suchym. Przy ostatniem spuszczeniu wody w celu wyłowienia ryb zdarzyło się, że bóbr widząc, iż woda przez śluzę uchodzi, tak mocno ją mułem i trzciną zatarasował, iż ani kropla się nie przesączyła. Nie mało potrzeba było trudu, by tę tamę usunąć". Wobec takiego faktu któż bobrowi odmówi władzy wnioskowania, rozwagi i rozumnego działania?

Względem innych zwierząt jest bóbr nieprzyjazny, względem człowieka co najmniej powściągliwy, przywyka jednak rychło do nieprzyjemnego dlań na razie sąsiedztwa, i poddaje się władzy swego opiekuna, nie znosząc wszakże niesprawiedliwości. Za młodu schwytany łatwo się oswaja, ale niedługo żyje w niewoli. Ułaskawione bobry dają się karesować, zbliżają się do swych stróżów, witają się z nimi, opierają się jednak wszelkiemu gwałtowi, wyginając grzbiet, szczerząc zęby, a w potrzebie nawet atakując. Chowane w zwierzyńcach bobry przeniknęły rychło, że kobiety i dzieci mają więcej uczucia, z tego powodu wychodzą natychmiast z jam, skoro je spostrzegą, stojąc i służąc wypraszają u przechodzących kobiet i dzieci jabłka, orzechy, cukier i chleb, biorą te przedmioty zręcznie w ręce, i niosą do ust, biją wszakże po palcach tego, który udaje podającego, lub droczącego się. Pisarze opisujący Amerykę wspominają o bobrach widywanych we wsiach indyjskich, jako zwierzętach domowych, lub o tych, które sami posiadali. „Widziałem — mówi La Hontan — w tych wsiach bobry tak oswojone jak psy, tak w wodach jako też w krzakach, gdzie swobodnie się poruszały. Czasem przez cały rok nie idą do wody, lubo nie należą do tak zwanych bobrów norowych, które wchodzą do wody tylko dla ugaszenia pragnienia, i które, jak twierdzili dzicy, przez inne bobry z powodu swej gnuśności bywały wypędzane". Hearne wiele bobrów oswoił do tego stopnia, że na zawołanie przychodziły, biegały za nim jak psy, i radowały się pieszczotami. Zdawały się być bardzo zadowolone w gronie indyjskich kobiet i dzieci, okazywały niepokój, gdy się one przez dłuższy czas nie pojawiały, a radość, gdy nadeszły, właziły im na łono, kładły na grzbiecie. Przytem przestrzegały czystości i wchodziły w naturalnej potrzebie do wody, w zimie zaś na lód. Żywiły się pokarmem ludzkim, jadły chętnie budyń ryżowy i rodzenkowy, a prócz tego ryby i mięso. Klein tak oswoił bobra, że biegał za nim jak pies, i szukał nieobecnego. Buffon dostał bobra z Kanady, i trzymał go przez lat wiele, z początku na suchem miejscu. Nie szedł on wprawdzie za nikim, ale pozwalał się brać i nosić na ręce. U stołu domagał się słabym, jękliwym głosem i znakiem ręki kąska, unosił go wszakże i zjadał w ukryciu.

Bobry grzeją się zawsze w zimie, w miarę miejscowości i wpływów na nie działających prędzej lub później. Żyją w monogamii. Wspomnieliśmy już wyżej, w jaki sposób odbywa się spółkowanie. Eymouth, którego kierownictwu powierzona była bobrownia książąt Schwarzenbergów w Rothendorf, podaje na podstawie wieloletnich badań, iż akt spółkowania odbywa się w postawie stojącej przez wzajemne obejmowanie się tak na lądzie jakoteż w wodzie. Nieco odmiennie opisuje tę rzecz Exinger: „Po dłuższem upędzaniu się za samicą w wodzie lub pod wodą, podnoszą się nagle oboje zwracają ku sobie, wpół ciała stojąc prosto po nad powierzchnią wody, przyczem utrzymują się w wodzie tylnemi łapami i horyzontalnie odstawionym płaskim ogonem, następnie zanurzają się i płyną ku lądowi, samica kładzie się na grzbiecie, a samiec na niej tak, iż dolna część korpusów ściśle się z sobą styka. Nie szczędzą przytem najczulszych pieszczot, następnie wsuwają się oboje do wody, zanurzają się, wypływają na drugim brzegu, otrząsają się z wody, i oczyszczają starannie". — W porze grzania się ma mieć strój bobrowy moc przyciągającą. Audobon nadmienia, iż wtedy bóbr wypróżnia swe torebki strojowe, czem zwabiony inny bóbr przykrywa to ziemią, i swoje wypróżnienie nań kładzie i tak dalej, aż w końcu tworzy się dosyć wysoki strojem przesiąkły pagórek.

Po mniej więcej czterech miesiącach, zwykle w Kwietniu lub początku Maja rzuca samica na wygodnem, trawą i sitowiem wysłanem legowisku w domu, dwoje lub troje, owłosionych ale ślepych młodych, które po dziesięciu dniach przewidują, wtedy matka wprowadza je do wody, a dodać należy, że zapłodnioną samicę samiec natychmiast opuszcza. Tylko w pierwszych czterech tygodniach ssą młode, potem przez 14 dni znosi im matka młode, miękkie drzewka, na których uczą się korę obgryzać, ciąć je, jakoteż żerować. Po sześciu tygodniach idą za matką, i odbierają naukę ścinania i transportowania drzew. Eymouth mówi, iż w Rothenhof zwykle pomiot bywał w Kwietniu lub Maju, a normalnie najpóźniejszy 10 Lipca, i że we Wrześniu już gryzły się młode bobry ze starymi, i już musiały być rozdzielane. Zdaje się, iż bóbr po dwóch latach wyrasta zupełnie, i zdolnym jest do rozpłodu.

Obecnie prócz ks. Schwarzenberga nikt prawie nie zajmuje się hodowaniem bobrów, mimo, iż rzecz to, jak wyżej nasz Pietruski wskazuje, nie zbyt trudna, a wielką korzyść przynosząca. Para bobrów osadzona w r. 1773 w Rothenhof, w sześciu latach rozrodziła się w 14, a po latach 10 w 25 sztuk, odtąd ograniczono chodowlę, ponieważ bobry puszczone na wolność czyniły szkodę. W Nymfenburgu w Bawaryi trzymano też w początku tego wieku bobry, i dostrzeżono, że niektóre z nich żyły w niewoli lat 50.

Bóbr należy w Europie do zwierząt prawie zupełnie wytępionych. Głównie chciwość ludzka wygubiła je, następnie kultura lasów, regulowanie rzek. Żebrawski (Kalendarz rolniczy. Przemyśl 1865) mówi: „W Niemczech są dotąd nad Dunajem, pojedyńczo około Magdeburga, Wittenberga, w Anhaltskiem, nad Odrą i Hawelą. W Szwecyi, Norwegii, Finlandyi i Kurlandyi rzadko się już napotykają. Sybirskie najwięcej cenione, i z okolic zatoki Hudsońskiej, gdzie dosyć obficie żyją, ale wkrótce jak europejskie wyginą, jeżeli rządy temu nie zapobiegną. Obawę tę usprawiedliwia wzmianka w dziele Bujaka (Natur-geschichte. Königsberg 1837), że w Montreal w 1773 roku sprowadzono do Roszeli 127.000 skór bobrowych oprócz 27.000 sztuk tychże, które w tym samym roku kompania Hudsońska do Anglii przysłała". W Szwecyi wywóz bobrów zabroniony. W Rosyi północnej i Syberyi są jeszcze, ale rzadkie. Jeżeli w Europie są jeszcze jakie bobry, to już pewnie nie budują domów, lecz tylko kryją się po norach. Takich domów szukać dzisiaj trzeba w północnej Ameryce, w Kanadzie, w Labrado-

rze, nad zatoką Hudsońską, gdzie jeszcze dosyć licznie przebywają, ale i tam chciwość ludzka i szerząca się kultura tępi je bezwzględnie. Niedaleką jest ta chwila, w której bobry nawet w Ameryce staną się rzadkością.

Pożytek wynikający z bobra przeważa szkodę, jaką czyni, bo zamieszkuje on zwykle niezaludnione okolice, i ścina młode pędy, które szybko odrastają. Główny pożytek z bobra daje materya krucha, twardawa, mocno aromatyczna, wydzielająca się z dwóch podogonowych gruczołów, używana w medycynie pod nazwą stroju bobrowego *(castoreum)*.

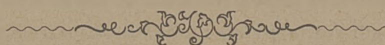
Dr. Jan Kulesza taką daje charakterystykę stroju bobrowego: „Bobrowy strój *(castoreum)*, ciało zwierzęce, koloru brunatnego lub czerwono-brunatnego, gęstości miodu stężałego, maziste, woni aromatycznej, przenikliwej, smaku gorzkawego, długo trwającego, za świeża ziarniste, koloru jasno-żółtego. Ogrzane topi się i wzdyma, pali jasno, i zostawia lekki węgiel, w wodzie nie rozpuszcza się, wodę po ogrzaniu farbuje nieco. Znajduje się u samca i samicy w dwóch woreczkach czyli torebkach poniżej kanału odchodowego pod ogonem. Torebki składają się z dwóch połówek, są podłużne, jajowate, nieco spłaszczone, u góry węższe. Połączone ze sobą błoną poprzeczną, mającą także kształt torebki. Powierzchnia ich ciemno-brunatna lub czarniawa. Nad woreczkami strojowymi są dwie inne torebki tłuszczowe *(axungia castorei)*. Niedawno E. H. Weber w Lipsku wykazał na podstawie sekcyi anatomicznych, że woreczki strojowe są tylko powierzchownym napłetkiem *(praeputium penis et clitoridis)*, strój zaś mastkiem czyli serkiem *(smegma)*. W handlu są dwa gatunki stroju: *a)* sybirski zwany też rosyjskim i moskiewskim *(castoreum sybiricum, rossicum seu moscoviticum)*, z Rosyi, Polski, Prus i Niemiec pochodzący, najprzedniejszy gatunek. Woreczki większe od amerykańskich wielkości jaja kurzego, czasem i większe podłużne nieco, spłaszczone, ważą 3 do 8 uncyi, wewnątrz prożne, brunatne, zewnątrz mocną powłoką skórną na wiele blaszek dzielącą się pokryte, wewnątrz tkanką komórkowatą przedzielone, do której strój bobrowy przylega. W świeżym stanie żółtawy, mazisty, talkowaty jednakże nie tłusty, wysuszony koloru czarno-brunatnego, łatwo rozcierający się, właściwego przenikliwego zapachu, smaku gorzkawego, korzennego, szczypiącego. Cena stroju sybirskiego dla jego rzadkości podniosła się teraz niezmiernie, funt jeden podług Göbla kosztuje 320 rub. sr. *b)* Strój amerykański czyli kanadyjski inaczej angielskim zwany dla tego, że przez Anglię do nas przychodzi, *(castoreum americanum, canadense seu anglicum)* od poprzedzającego daleko podlejszy. przychodzi z północnej Ameryki i Kanady. Woreczki nierównie mniejsze od sybirskich, więcej podługowate, gruszkowate, pomarszczone i węższe, zaledwie na jeden cal szerokie, a 3 do $3^1/_2$ cali długie. Znajdują się wprawdzie woreczki tego gatunku, szczególniej przesyłane z Hudsonsbay, które co do wielkości rossyjskiemu strojowi prawie wyrównywają, zwykle jednak mają kształt bardziej gruszkowaty, i są więcej płaskie, ważą od 1 do 3 uncyi. Kolor zewnętrzny strojów amerykańskich jest brunatny, ciemniejszy albo jaśniejszy, powłoka zewnętrzna cieńsza, nie dająca się jak w sybirskim na wiele blaszek podzielić. Massa wewnętrzna jest także bardzo rozmaita, za świeża miększa, koloru pomarańczowo-żółtego, po wysuszeniu żółtawo-szarawa, nigdy na warstwy nie podzielona, jak to się dzieje w stroju sybirskim. Po tej własności łatwo go rozróżnić, próżni także wewnątrz brakuje, zapachu słabszego nieco amoniakalnego, smaku równającego się sybirskiemu, funt jeden kosztuje około 17 talarów. Stroje bobrowe fałszowane bywają krwią, gumą żywiczną, ambrą, smołą, piaskiem lub tym podobnemi rzeczami. Części ich składowe: olejek strojowy *(oleum castorei)* blado żółtawy, lepki, tłustawy, gęstości oliwy, zapachu strojowego, przenikliwego, smaku ostro gorzkiego długo, utrzymującego się, lżejszy od wody (kanadyjski cięższy), w wodzie dystyllowanej rozpuszcza się cokolwiek, a w wyskoku zupełnie. 2) Kastorin (podług Gmelina kamfora strojowa), właściwie ciało strojowe, bezfarbne, zdaje się być spowinowacone z etylem, po wysuszeniu żółtawe, przez długie stanie jasno fijałkowe, rozpuszczone napowrót krystalizuje się w igiełki, zapachu strojowego, smaku właściwego a zarazem metalicznego, w zimnej wodzie wcale nie rozpuszczalne, w wyskoku ciężko, a w eterze bardzo łatwo, równie jak i w olejach eterycznych przy cieple, traktowane kwasem azotnym tworzy właściwy kwas strojowy *(acidum castoreum)*. 3) Żywica strojowa *(castoreum resinoid)* ciemno-brunatna, słabego strojowego zapachu, prawie bez smaku, później gorżkawa, krucha, w odłamie błyszcząca, łatwo na proszek uciera się, od ciepła rąk rozmiękcza się, w wodzie bardzo ciężko, w bezwodnym zaś wyskoku, eterach i gorącym olejku migdałowym rozpuszcza się. 4) Pierwiastki extraktowe: białko, klej zwierzęcy, siarek fosforu, węgiel, tudzież połączenie kwasu mlecznego z potażem, amoniakiem i wapnem, z węglanem magnezyi i fosforanem wapna. Oprócz tego Wöhler znalazł w strojach bobrowych kwas karbolowy, a Buillon-Lagrange, Langier i Biegel znaleźli kwas benzoesowy, który podług Brandesa w związku z amoniakiem i wapnem utrzymuje się. Według zdania Berzeliusza może to być kwasem hypurowym. Analiza chemiczna stroju bobrowego sybirskiego, przez Brandesa dokonana, w porównaniu ze strojami kanadyjskimi, wykazała znacznie większą ilość organicznych istot, mianowicie najdzielniej skutkujących, i tak: w Kanadyjskim stroju znajduje się oleju strojowego 1,00, w sybirskim 2,00, pierwszy zawiera żywicy strojowej 13,85, drugi 58,60, pierwszy kastorinu 6,33, drugi 2.50, obadwa zaś gatunki strojów pod względem swej dobroci równe są, a tylko różnią się co do ilości zawartych części skutecznych. Strój bobrowy na powietrzu nie zmienia się, utraca jednak nieco zapachu, w cieple rozmiękcza się, z wodą miesza się, po części udzielając jej swego koloru i zapachu, lecz w spokojności zostawiony znowu na dół opada, w wyskoku i kwasach mineralnych rozpuszcza się niezupełnie, z ostatnimi burzy się. Strój bobrowy jako środek lekarski już starożytnym lekarzom greckim był znany, zawdzięcza swoją skuteczność zapachowi i smakowi razem połączonym, a mianowicie olejkowi eterycznemu, który tak obficie zawiera. Na zdrowy organizm wzięty, zupełnie jest obojętny, zaledwo odbijanie i nieprzyjemne uczucie w dołku podsercowym sprawia, w chorym zaś organizmie podług Barbiera działa pobudzającym sposobem na mózg i mlecz kręgowy, szczególniej zaś na nerwy niższego brzucha, przy chorobliwej drażliwości i czułości w tej sferze, osobliwie zaś przywraca normalną działalność nerwów macicznych. Użyty w bardzo wielkich daniach działa podniecająco, przymnaża ciepło i przeziew skóry, przyspiesza tętno. Dawniejsi lekarze (Tralles, Bonn) mieli strój bobrowy za dynamicznie wspierający opium, a G. A. Richter zauważał, że histeryczki i hipochondrycy lepiej znoszą opium w połączeniu ze strojem, aniżeli samo przez się, mniej bowiem upaja, a więcej działa na uspokojenie kurczów. Bobrowy strój używa się w następujących chorobach: w histeryi i hipochondryi, przy wyczerpanej czułości nerwowej,

osobliwie mózgu i mlecza, w napadach nerwowych, bolu głowy zwykle połowicznego, w omdlewaniach, biciach serca, w kurczowem zaduszeniu i płaczu, w kurczach piersiowych, zawrotach głowy i migrenach, w newralgiach szczególnie organów niższego brzucha, a najbardziej w chorobach macicy, przy zawadach kurczowych, w czyszczeniach miesięcznych, w napływach krwi do macicy podczas ciąży i przy usposobieniu do poronienia, w bólach kurczowych przy porodzie u położnic i t. d. Strój bobrowy daje się chorym po 2, 4, 6, 10 gran na działki po kilka razy dziennie, w proszkach lub pigułkach, sam przez się lub w połączeniu w innemi istotami. Thevenel doszedł raz w wielkiej chorobie do pół uncyi na wziątkę dwa razy dziennie. Nalewka strojowa *(tinctura castorei sibirici v. canadensis simplex, atque aetherea)*, pierwsza daje się od 20—60, druga od 10—30 kropel po kilka razy dziennie, nalewka stroju sybirskiego w mniejszej zawsze działce, niżeli kanadyjskiego. Zewnętrznie używa się strój bobrowy do wąchania, w lewatywach z rumiankiem, i do maści. Dzisiaj strój bobrowy bardzo rzadko jest używany dla swej drogości, chyba w wyjątkowych tylko zdarzeniach".

Według Rządczyńskiego jest strój bobrowy skutecznym środkiem przeciw chorobom uszów, gośćcowi, podagrze, w letargu, apopleksyi, epilepsyi, paraliżu, szale, kolkach. W średnich wiekach więcej był używany, jak dziś. Wartość stroju bobrowego amerykańskiego znacznie jest niższą od europejskiego. Pierwszy lżejszy, przykrej woni nosi nazwę kanadyjskiego albo angielskiego, drugi z mocnym zapachem i gorżkawym smakiem, znacznie wyższej wagi, nazywany bywa moskiewskim albo sybirskim. Strój bobrowy staje się coraz rzadszym i kosztowniejszym. Żebrowski wspomina, iż za łut moskiewskiego płaci się 60—70, kanadyjskiego 4 złr, a według Brehma płacono przed 40 laty za łut guldena, obecnie zaś 20 złr. i wyżej. Według twierdzenie Pleischla wynosi przeciętnie wartość torebek strojowych 180 złr., podnosi się wszakże czasem o drugie tyle. U samic bywa stroju 8—10 uncyi, u samców nieco więcej. Futro bobra nader cenne. Wyskubuje się z niego górny włos tak, że tylko puch pozostaje. Amerykańskie znacznie przewyższa dobrocią, barwą i połyskiem włosa europejskie. Skóry te stanowią dotąd przedmiot zamiennego handlu z Indyanami. Im ciemniejsze futra, tem droższe, w wysoko północnych krajach są czarne, a Kanada w Ameryce ma białe. Skóra dopiero w trzecim roku nabiera pełnej piękności. W handlu dzielą się skóry bobrowe na tłuste, któremi Indyanie się przystrajają, te są najlepsze, na świeże t. j. zimowe, i na suche czyli letnie, najniższej wartości. Według Lomera idzie corocznie z Ameryki około 150.000 skór bobrowych w wartości półtora miliona marek w handel. Futra bobrowe są cenne, ciepłe, ale ciężkie. Szerść bobrowa daje najprzedniejsze kapelusze, rękawice i pończochy kastorowe. Zęby służą malarzom pozłacającym do polerowania. Mięso nie smaczne, czuć go tranem, ogon zaś uważany był za przysmaczek, płacono zań dawniej drogo. Księża spożywali mięso bobrowe jako potrawę postną, i przepłacali je. — Tłuszcz i krew używane były jako leki, a niewiasty syberyjskie uważają kości jako ochronę od bolu nóg i zębów, jako ozdobę szyi i ułatwienie ząbkowania.

Dzicy amerykańscy oddają bobrowi szczególną cześć. Przypisują mu tyle niemal rozumu, ile człowiekowi i utrzymują, że owo szlachetne zwierzę posiadać musi duszę nieśmiertelną.

Łowy na bobra odbywają się zwykle w zimie, bo wtedy futro najcenniejsze. Poluje nań Amerykanin z lancą w ręku, u spodu żelazem okutą, idzie brzegiem ponad rzeką, a uderzając w lód poznaje z odgłosu, gdzie są bobrowe jamy. Potem przebija ową lancą otwór w lodzie tak wielki, by się weń bóbr mógł zmieścić. Tymczasem kobiety na lądzie biją w ziemię nad jamą lub domem, przestraszony bóbr ucieka pod lód, gdzie go myśliwy łatwo zabija, musi bowiem dla chwycenia powietrza zbliżyć się do przyrębli. Chwytają też bobry w samołówki, żelaza i sieci. — Nie chcemy szeroko rozwodzić się nad tymi łowami, nie posiadając bowiem bobra, polowaniem tem zajmować się nie możemy. *J. Ł.*



ŁOWIECTWO WE FRANCYI I TĘPIENIE PTACTWA.

„Kolońska Gazeta" opisuje je w następnych słowach: Francya bogata jest w myśliwych, ale uboga w zwierzynę. Pojedyncze niedźwiedzie znajdują się jeszcze w Piryneach i w Alpach sabaudzkich, ale nader rzadkie, dziki w Bretanii i Alpach nadmorskich, również w niektórych okolicach Francyi północnej, gdzie je posiadacze ziemi starannie ochraniają. Od czasu utraty Alzacyi i Lotaryngii, gdzie jeszcze są rewiry bogate w zwierzynę, nie ma Francya jeleni i sarn, z wyjątkiem niektórych większych posiadłości i zwierzyńców, w których bywają hodowane. Godnem jest uwagi, iż wilki dawno już wytępione w Niemczech, są tu nader liczne nie tylko w mało zaludnionych wysokich górach Pyryneów i Alp nadmorskich, ale też w Ardennach, a nawet w środku Francyi, w Sawennach, w Bretanii i w bogatej w wygasłe wulkany Owernii. Pochodzi to ztąd, że we Francyi z wyjątkiem niewielu rządowych rewirów, kultura wysokopiennego drzewostanu nie bywa uprawianą. Materyał budowlany tańszy sprowadzają z obcych krajów, dla posiadacza lasów większą przeto jest korzyścią, ciąć drzewo w peryodach siedmiu, dwunastu, najwięcej piętnastu lat, które jako opał rychły i cenny daje dochód. Las wysoki rozległym cieniem nie dopuszcza rozrostu młodzieży i krzewów, niski zaś sprzyja mu. Tak więc szczególnie w niedostępnych jarach okolic górzystych przeważają gąszcze młodzieży, krzaków i zarostu, dostarczające wilkom niedoścignionych schronisk, zkąd też one śród ostrej zimy czynią łupieżcze wycieczki po owce, psy, a nawet ludzi. Częste rewolucye usunęły wszystkie niemal dawne obyczaje i zwyczaje, zwłaszcza te, które przypominały monarchiczny i arystokratyczny ustrój. Jeden wszakże dawny zwyczaj pozostał, konieczną potrzebą ochroniony, to jest mianowanie urzędnika państwa z tytułem: *lieutenant de louveterie*. W okolicach, w których wilki w mnogiej liczbie się rozrastają, mianuje rząd dawniej i teraz jednego z większych posiadaczy takim *lieutenant de louveterie*. Urzędowanie jego polega na tem, iż w razie, gdy te rabusie w zbyt wielkiej liczbie się pojawiają i skargi częste o ich łupieży dochodzą, może on za wyraźnem zezwoleniem prefekta departa-

mentu, nawet w porze zamknięcia polowania, urządzać wielkie łowy z nagónką na wilki. W tym celu sprasza okolicznych myśliwych, obejmuje sam kierunek łowów i dostarcza obławy i psów. Dzień to, którego cała okolica wyczekuje z natężoną niecierpliwością. Zdala i z bliska nadciągają zbrojni Nemrodowie, niektórzy z nich zostawiają w domu testament, niejedna małżonka rzewne łzy leje przy pożegnaniu, i ślubuje ofiarę Najśw Pannie, jeśli jej małżonek szczęśliwie i zdrowo z tej strasznej walki z dzikiemi bestyami wyjdzie. Liczne są wprawdzie opowiadania o szczęśliwem ocaleniu od nieochybnej śmierci, żywemi barwami kreślone wieczorem przy kielichu po takich wyprawach łowieckich; w istocie zaś łowy na wilki, przy których zwykle pada z pół tuzina tych ofiar, wcale nie są niebezpiecznemi. Wilk jest płochliwym i trwożliwym, polowanie na dziki na większe naraża niebezpieczeństwa. Zajęcy i kuropatw wszędzie jest dosyć, ale w coraz zmniejszającej się liczbie. Jeżeli się stan rzeczy nie zmieni, to można na pewne twierdzić, że w bliskiej przyszłości zwierzęta te będą zupełnie wytępione, i jeszcze tylko jako pomniki dawnych czasów wypchane w muzeach przechowywane. Królików wszędzie mnóstwo, w niektórych miejscowościach są one dokuczliwą, nie do wytępienia plagą, ponieważ z powodu swej rączości nie wychodzą dobrze na strzał i szybko w norach się kryją. Bażantów wiele hodowanych. Głuszce i cietrzewie rzadkie, bo ani marzyć można o ich ściąganiu i hodowaniu. Francya jest krajem ubogim w zwierzynę, a jednak wzrasta liczba uprawnionych łowców jakoteż kłusowników z każdym rokiem. *Tempora mutantur*. Francya należy bez zaprzeczenia do krajów, w których najwcześniej ustanowiono prawa łowieckie, w czem leży wymowny dowód, iż wówczas obfitowała w zwierzynę. Podczas gdy dawni Germanowie swobodnie w ciągu całego roku buszowali po kniejach, gdy jeszcze Tusnelda pożądliwie zapragnęła mieć jelenia na kuchnię; wtedy już Gallowie za Merowingów cieszyli się wyższą cywilizacyą, posiadając niektóre lubo wątłe prawa łowieckie. - Na szczycie stanęły te prawa za Ludwika XIV. Łowy stały się umiejętnością, którą sobie inne kraje najusilniej przyswajały, i za tym przykładem iść pragnęły. Wszystkie niemal w Niemczech dotąd używane fanfary łowieckie i sygnały z owych wywodzą się czasów, a gdy dziś na wiosnę myśliwy swemu obok stojącemu koledze zbliżanie się nadciągającej słonki wykrzykiem: *Tire haut!* oznajmia, to zapewne w zapale myśliwskim nie myśli o tem, że ów wykrzyk jest odgłosem dawnego francuzkiego zwyczaju.

Istniejące we Francyi od wieków prawa łowieckie miały niezawodnie dawniej swe uprawnienie. Pomnożono je z czasem, poprawiono, i tak obostrzono, że łowy na każde zwierzę tam pełzające, pomykające lub pływające najdokładniej były uregulowane. Dobre to zaprawdę i podziwienia godne, ale jednej ważnej rzeczy nie uwzględnili mądrzy prawodawcy, a to istnienia zwierzyny samej. Prawa łowieckie imponują dzisiaj całą doskonałością, ale zwierzyna, do której one mają być zastosowane, prawie wytępioną została w ciągu wieków mimo Ustaw w obronę ją biorących. Cała krajowa zwierzyna stoi niezawodnie na etacie zupełnego wygubienia. Pozostaje dla myśliwych niemal ta tylko zwierzyna, która nie troszcząc się o nędzne ludzkie postanowienia lot swój od początku świata według nieomylnych a tak prostych praw opatrzności wskazanemi przez nią drogami kieruje. Są to ptaki przelotne, przybywają nie wiadomo zkąd, ulatują Bóg wie dokąd, ale w chwilach przylotu i odlotu czyha na nie krwi chciwy strzelec, a miliony ich stają się pastwą jego drapiestwa. Obecnie już skrzydlata ta rzesza, dawniej nieskończenie liczna, straszliwie przerzedzona, a jeżeli potrwa dłużej ta systemizowana rzeź w coraz bardziej wzrastającej mierze, to nadejdzie chwila, w której owe miłe, skrydlate mieszkańce i spiewaki śród lasów i pól staną się mityczną istotą, co też z niektórymi ich rodzajami istotnie już się stało.

Francyę można pod względem łowiectwa podzielić na dwie części, na południe i na północ. Na północy rozpoczynają się łowy z początkiem Września, na południu nieco wcześniej, w połowie Sierpnia, a zamykają się w obu częściach równocześnie w środku lub w połowie Stycznia. Nie ma stale oznaczonych dni otwarcia lub zamknięcia łowów. Prefektom różnych departamentów dano moc oznaczania ich na podstawie sprawozdań o stanie zwierzyny, zawisłym od stanu powietrza w każdej porze roku. Karta łowiecka służąca na całą Francyę kosztuje 20 franków rocznie. Niektórzy bardzo postępowi członkowie dzisiejszego republikańskiego rządu sądzą, iż taka opłata niezgodną jest z zasadą wolności, równości i braterstwa, i już ponownie usiłują wprowadzić bezwarunkową bez opłaty wolność łowiecką. Jeżeli ów wniosek stanie się prawem, a możliwem to jest, wtedy niepohamowany lud wybije zwierzynę w przeciągu dwóch, najwięcej trzech lat do nogi. Proch jest monopolem rządowym, i trzy razy niemal tak drogi, jak w Niemczech. Karta łowiecka, odnawiana w każdym roku, uprawnia posiadacza jej do polowania na gruntach swoich, lub w wydzierżawionych rewirach, jakoteż na obszarach gminnych, jeżeli one nie są rezerwowane lub też starannie strzeżone. Bez karty można polować tylko w miejscach zamkniętych *(clos)* t. j. w miejscach obwiedzionych w koło na półtora metra wysokim murem, a nie kratą, sztachetami lub płotem. Nadto musi stać w takiem obmurowaniu dom, lub też według wymagania prawa przynajmniej chata, w której wszakże znajdować się powinno łóżko i komin, jako dowód, iż jest zamieszkaną, lub zamieszkaną być może. Warunek taki odnieść się więc może do ogrodów i drobnych posiadłości, gdzie prócz ptactwa nie ma zwierzyny, i ów to warunek jest właśnie podstawą systematycznego wytępiania ptaków. W takich zamkniętych miejscach wolno polować przez cały rok, nawet w porze zamknięcia łowów, bez karty, byle nie na przynętę lub sidła. Gdy jednak straż polna lub żandarmerya nie ma prawa bez wyraźnego nakazu wdzierać się w takie *clos*, to owo ograniczenie zupełnej swobody polowania nie bywa przestrzegane przez zapamiętałych myśliwych. Większa liczba myśliwych nie może lub nie chce płacić 20 franków za kartę, albo nie ma sposobności polować w wielkich rewirach, ale posiada park, ogród czy ogródek, murem opasany obszar pola, a nawet tylko dziedziniec na przedmieściu lub na wsi, ma też jakąś starą, zardzewiałą strzelbę, pistolet, a przytem namiętną chętkę myśliwską. Z takiemi prostemi przyrządami i usposobieniem staje myśliwy w swojem *clos* na stanowisku lub nawet nie odrywa się od swego zwykłego zajęcia, słyszy gdziekolwiek na drzewie, na dachu, na murze ćwirk ptaszęcia, strzela, i oto już jeden wdzięczny spiewak przyrody leży martwy u stóp jego. Takie polowanie jest istotnie morderczem, bo trwa w ciągu całego roku, wykonywane bywa przez krocie tak zwanych myśliwych, liczba przeto ofiar nie da się obliczyć.

W północnej Francyi odbywają się łowy zupełnie tak, jak w Niemczech, z tą tylko różnicą, iż mniej tam zwierzyny, a znacznie więcej myśliwych, którzy przy niedostatku zwierzyny istotnie łownej, szukają zaspokojenia swej myśliwskiej namiętności w wybijaniu ptactwa wszelkiego rodzaju. W południowej Francyi tenże sam zachodzi stosunek odnośnie do tamtejszej zwierzyny łownej, właściwością wszakże są łowy na ptactwo

przelotne, które się na wiosnę i w jesieni podczas przeciągu na północ lub południe we wszystkich krajach śródziemnego morza, zwłaszcza w pobliżu zatok, w wielkiej mnogości zbiera. Jesień jest porą ogromnego tego ptactwa wybijania, mniej wiosna, bo wtedy z powodu zamkniętej już pory łowieckiej nie wolno polować w otwartych rewirach, tem gorliwiej dzieje się to wtedy w zamkniętych. Doczasowo ochronioną jest piękna jaskółka, ów duch opiekuńczy strzechy niemieckiej, której prowansalczyk nadaje wdzięczne miano *dindouletto*, jeżeli nie od strzału, to przynajmniej od gromadnego wyniszczania sieciami, ale zapewnionym jej byt nie jest. Inny minister — inne prawo! W kraju, w którym na mocy prawa wolno strzałem zabijać słowika, nie mogą też jaskółki spodziewać się trwałej ochrony. Jeżeli pan profesor Aquenza twierdzi, że jaskółki są we Włoszech ochronione, to myli się on stanowczo i zaprawdę dziwnie. Ktokolwiek bowiem zna nieco tylko Włochy, wie dobrze, że tam żaden ptak nie doznaje opieki prawnej, że wolno tam polować na jaskółki i łowić je. Jeżeli mimo tego mniej tam tego rodzaju ofiar pada, to dzieje się to jedynie z powodu trudnego strzału do tego ptaka, jakoteż z tej przyczyny, że również trudno, chyba na niewielu bardzo przyjaznych miejscach, łowić owego zwykle ponad wodami przeciągającego ptaka w sieci. Jedynem usprawiedliwieniem tego u Włocha zaiste nader dziwnego twierdzenia mogłoby być chyba to, że w miejscowościach przeważnie mało zawodnionych południowej Europy są ogromne obszary, na których albo wcale nie ma jaskółek, lub tylko nader mało, nie znajdują tam bowiem żeru w owadach. Tylko tam, gdzie rzeki i błota, są one liczniejsze, i tam tylko bywają prześladowane. Może pan Aquenza czynił swoje spostrzeżenia w tych suchych, nie odwidzanych przez jaskółki miejscowoćciach. Wycieczka do zawodnionej niziny rzeki Po lub na błota Tybru niezawodnie zmieniłaby jego mniemanie. Takie gromadne wybijanie ptactwa wzrasta straszliwie z każdym rokiem w całej południowej Europie, a z tego powodu zmniejsza się stosunkowo liczba ptaków przelotnych. Każdy myśliwy czy to we Francyi, czy w Niemczech lub gdziekolwiek stwierdzi to zdanie. Rozważny podróżnik dostrzeże w południowej Europie, że lasy, łąki i pola w każdej porze roku głuche są i pozbawione ptactwa, a gdy się o powód tego zjawiska którego z mieszkańców zapyta, to każdy z nich bez wyjątku nie umie go wyjaśnić, ale żałośnie skarży się na coraz bardziej wzrastającą plagę owadów, robactwa i innych pasożytów, która jego plony obsiada i częstokroć do szczętu niszczy. Oto są skutki niewątpliwe wytępiania ptactwa. Gdyby było możliwem obliczyć straty w plonach, jakie wynikają z bezwzględnego i bezmyślnego tępienia owadożerczego ptactwa, toby one wynosiły nie miliony, ale miliardy, i to w każdym roku. A jednak tępi je zaślepiony człowiek lubo liczący się do inteligencyi, a rządy zresztą troskliwe o podniesienie dobrobytu swych narodów, dozwalają mu srożyć się swobodnie. Ów z każdym rokiem wzrastający obręb gromadnego wybijania ptactwa ma podstawę w ułatwionej komunikacyi przez koleje żelazne i parowce. Gdy dawniej wyławiacze ptaków w południowej Europie mieli tylko zbyt ograniczony export dla swego towaru w małej, sąsiedniej okolicy, mogą oni dziś swoją zdobycz zwłaszcza przy szerokim popycie w najdalsze miejscowości rozsyłać. Koleje rozwożą ją do wielkich miast, parowce daleko poza morza do krajów obcych. Łowi więc i morduje, zbyt ma zapewniony, choćby nawet całe hetakomby tych niewinnych ofiar nagromadził. Każdy pociąg kolejowy z Włoch i z Hiszpanii, każdy z tysiącznych parowców ze wszystkich przystań śródziemnego morza niesie w właściwej porze setki, nawet tysiące koszów, napełnionych ptactwem przelotnem każdego rodzaju, które się rozprószają po całej Francyi. Tuzin oskubanych skowronków kosztuje w Marsylii 60 cm., gdy są tanie, dwa razy prawie tyle, kiedy są w cenie. Oskubane *petits oiseaux*, między temi różnego rodzaju drobne ptaki jak: sikory, szczygły, słowiki, ziemby i t. d. kosztują tylko 50 cm., a najwyżej franka. W jesieni tak owa zwierzyna na targu pospolita, że na wszystkich ulicach bywa na sprzedaż wystawioną, starannie oskubana i ozdobnie tuzinami szyjkami w rozszczepioną trzcinę utwierdzona. „Świeże skowronki i małe ptaszki“, — rozchodzi się nawoływanie ze wszystkich stron. Po zamknięciu pory łowieckiej zabroniony jest srogo wszelki import drobnego ptactwa we Francyi. Jeśli się jakie pojawi, to urzędnicy cłowi konfiskują je i oddają do użytku chorych po szpitalach. Wtedy wszakże rozpoczyna się import żywych przepiórek. Zabitej zwierzyny wprowadzać nie wolno, ale żywą można swobodnie. Przepiórki są jedynym rodzajem ptaków przelotnych, jaki w ogromnej mnogości we Włoszech i Sycylii, w Hiszpanii, na całem wybrzeżu północnej Afryki, mianowicie w Egipcie, w Syryi i na greckich wyspach żywcem sieciami bywa łowiony i z łatwością żywy rozsyłany. Przepiórki mniej są płochliwemi w niewoli i bez trudu mogą być żywione ziarnem i chowane. W płaskiej skrzyni około 1,50 m. długości, 75 cm. wysokości, z przodu drutem, naczyniem na żer i wodę opatrzonej, wpuszcza się 50 do 80 przepiórek. Każdy z owych miejscowości nadchodzący parowiec przywozi wiele sztuk takich skrzyń, okręty z ośmiu do dziesięciu tysiącami żywych przepiórek nie są wcale rzadkością, niektóre już dostawiały 20.000, jeden nawet 30.000. Przepiórki te idą do Paryża, a szczególnie do Londynu, gdzie jako wybredny przysmaczek są bardzo poszukiwane. Mimo wielkiej w skutek burz morskich śmiertelności tych ptaków, dają one znaczny dochód, ponieważ jedna przepiórka kosztuje na targu kilka feników, a w Londynie płacą za nie półtory, czasem nawet dwie do trzech marek za sztukę. Z tego też powodu handel przepiorkami wzrasta z każdym rokiem. Zkądże to pochodzi, że taka masa drobnego ptactwa bywa sprzedawana i spożywana? Tylko w odrębnym smaku i zwyczaju żywienia się południowca, bardzo odmiennych od mieszkańca północy, stanowczo bowiem przeważna liczba drobnych ptaków spożytą bywa w południowej Francyi, we Włoszech i Hiszpanii. Któż spożywa lipskie skowronki? Tylko bogaci, wybredni smakosze. Już w średniej niemieckiej warstwie społecznej jest wielu takich, którzy nie znają ich smaku, a lud wcale ich nie widzi nawetby takiej strawy nie jadł, — dla niego najsmaczniejsza kiełbasa, tęgi kawał mięsa, słonina i chleb razowy. Inaczej rzecz się ma na południu, gdzie klimat wymaga mniej posilnego pożywienia, i gdzie smak we wszystkich warstwach społecznych o wiele jest wybredniejszym. *Petits oiseaux à la broche* upieczone lub gotowane w ryżu jest ulubioną potrawą ludową w południowej Francyi, którą potrawę przy niskiej cenie drobnego ptactwa może każdy robotnik w porze łowieckiej mieć bardzo często. To upodobanie w tej potrawie powszechne jest główną przyczyną tępienia ptactwa, gdyby bowiem nie było na ten towar zbytu, to wnetby niepoczciwe to rzemio ło musiało ustąpić. Jakież są środki zapobieżenia wygubieniu ptactwa? Na klasy nieoświecone moralny wpływ, by jak najrychlej ów smutny stan rzeczy się zmienił. Wszakże lud głównie zajmuje się gromadnem wytępianiem ptactwa, on też jest jego głównym konsumentem. Nie namiętność myśliwska wiedzie go do tego, lecz szukanie pieniężnych zysków, łakomstwo, jednem słowem egoizm. Walczyć przeciw tym niecnotom z ludźmi pozbawionymi światła moralnemi upomnieniami by-

łoby rzeczą próżną. W klasach wyższych nie ma chęci zysków, lecz raczej gorączkowa namiętność myśliwska, która się w braku innej zwierzyny łownej rzuca na ptactwo przelotne. Wszelkie przedstawienia byłyby i tu bezskutecznemi. Obie jednak klasy możnaby do zaniechania tego rozboju zmusić, a nawet zmusić je jest koniecznością. Stać się to może jedynie przez ustanowienie racyonalnych, międzynarodowych Ustaw łowieckich, które Rządy między sobą ułożą. Ale czyż troszczą się dziś Rządy o ptactwo spiewające i wędrowne? Mało albo wcale nie, polityka, armije i długi państwowe absorbują całą ich uwagę. Tu musi opinia publiczna, której żaden Rząd lekceważyć nie może, gorąco tę ważną sprawę poruszyć. Tak jak genialnemu Stephanowi powiodło się przeprowadzić ogólne Ustawy pocztowe nawet w państwach mniej cywilizowanych, co przed niewielu jeszcze laty uważane było jako niemożliwość, tak też należy postanowić Ustawy łowieckie skuteczne w celu zapobieżenia wytępianiu ptactwa. Na opinię publiczną jednakże nie tylko wpływa przemożnie, ale też budzi ją ze snu letargicznego — prasa. Więc przedewszystkiem niech wszystkie Pisma peryodyczne patryotyczne i interesujące się tym ważnym przedmiotem zwracają uwagę czytelników swoich na ów niesłychanie szkodliwy tryb polowania. Naprzód należy ująć wrażliwe serca młodzieży i niewiast dla nieszczęsnego dziś rodu skrzydlatego, a wtedy twarde uczucie męzkie musi uledz i niezawodnie ulegnie. Gdy naród cały przekona się o koniecznej potrzebie ochraniania ptactwa, to znajdzie się siła, która zmusi Rządy do postanowienia międzynarodowych Ustaw ochrony ptactwa. Oby ów czas jak najrychlej nadszedł! Wtedy w wytępieniu plagi owadów i robactwa, w poruszającym serce spiewie w lasach i polach znajdzie ogół najpiękniejszą nagrodę swych usiłowań. *Jagdzeitung.*

Tłum. J. Ł.

KORESPONDENCYE.

Jurków, 5 Listopada.

Przyrzekłem przesyłać Redakcyi „Łowca“ sprawozdania z polowań odbytych w W. Księstwie Poznańskiem, a ponieważ pora łowów się rozpoczyna, pospieszam z opisem pierwszego polowania, na jakiem byłem w tym roku. Dnia 3 Listopada polowaliśmy na jelenie w Brodnicy, w jednym z majątków p. Kaz. Chłapowskiego z Kopaszewa. Dzień był mroźny i ziemia cienką warstwą śniegu pokryta, czas jakby zamówiony. Przed lasem zsiedliśmy z wózków, aby turkot kół nie straszył jeleni, i udaliśmy się pieszo na stanowiska. W pierwszym miocie wyszło pięć jeleni skrzydłem niestrzelanych, w drugim zaś przebiły się jelenie przez naganke. Nie strzelaliśmy do zajęcy i sarn, aby jeleni nie płoszyć. Przed trzecim miotem p. Chłapowski widząc, że się z jeleniami nie wiedzie, prosił swych gości, aby odłożyli sztućce, i ze śrótówek strzelali do wszystkiego, co się nadarzy, a równocześnie posłał po wózki, które stanęły na linii o dwieście kroków od pierwszego strzelca. Zaledwieśmy stanęli na stanowiskach, zaczęła się kanonada do zajęcy i sarn, gdy nagle ogromny jeleń wyskoczył na leśniczego, stojącego na skrzydle. Ten nie mając sztućca strzelił doń loftkami i trafił w przednią racicę. Jeleń wystraszony strzałem, wpadł w największym pędzie między wózki, przewrócił dwa konie, złamał dyszel, pozrywał uprząż i poszedł dalej. Nie wierzyłbym, gdybym nie był tego świadkiem wraz z resztą myśliwych, w owem polowaniu udział biorących. Jeleń, który bardzo farbował, przeszedł granicę dóbr Brodnickich, a my wzięliśmy jeszcze jeden miot. Padło 45 zajęcy i dwa rogacze. Byłoby legło niezawodnie drugie tyle, gdybyśmy byli od razu w pierwszych miotach do zajęcy strzelali tem bardziej, że ich w tym roku u nas niesłychana ilość. Oto *avis aux lecteurs* dla Nemrodów galicyjskich, uczęszczających na polowania Wielkopolskie. *S. M.*

Z nad brzegów Irpenia.

Wspomnieniem z odbytej na Ukrainie wycieczki w Sierpniu r. b. radbym się podzielić z braćmi myśliwymi. Poza przekopami gór złoczowskich za Hłuboczkiem, roztacza się daleki widok płaskowzgórzy podolskich, a ciemne linie wąwozów i jarów wśród bezleśnych obszarów cechuje za Jezierną właściwe Podole. Cztery mile od Podwołoczysk za granicą Austryi koło Proskurowa i Derażni przypomina widok ogromnych błot i stawów i wzlatujące stada czajek, kaczek i rybitw poruszonych świstem parowozu — ów ustęp z „Pieśni o ziemi naszej“ :

„Jeśliś bracie jest myśliwy,
Na wołyńskie zajedź stawy...“

a ponętny widok urozmaica nudy podróży dzisiejszym ulubieńcom Diany. Po dwudniowej podróży minąwszy setki marcjalnych postaci żandarmskich, na każdej stacyi i stacyjce posągowo przedstawiających siłę i ogrom imperyi, stanąłem nad brzegami Irpenia, tej dawnej granicy pomiędzy Zaporożem i Polesiem, w okolicy Fastowa i Białocerkwi. Ogromne lasy szpilkowe byłego biskupstwa Fastowskiego z jednej, a przeważnie brzozowe z drugiej strony rzeki, były widownią moich skromnych wypraw myśliwskich. O ilości wilków w pobiskupskich lasach rządowych miałem sposobność przekonania się, gdy raz w noc późną wracałem od dziegciarni do domu, a wycie ich z hukaniem puhaczy i naszczekiwaniem psów wiejskich zmięszane, tworzyło hajdamacką prawdziwie serenadę. Znanym w tych stronach pogromcą wilków jest obywatel tutejszy pan Ab... Polowanie odbywa się w zimie z sieciami, żałować jednak należy, że hetakomby zajęcy przy pomocy tychże sieci wyprawiane, sprowadziły zwierzostan tych lasów do zupełnej ruiny. Mnie strzelca z pode Lwowa uderzył ten brak łownej zwierzyny w takich na pozór matecznikach. Na stawach i jeziorach leśnych uważałem liczebną przewagę podgorzałek i innych rodzajów kaczek nad naszemi krzyżówkami. Także zimorodek, ta szmaragdowa ptaszyna wodna, u nas dosyć rzadka, tam daleko częściej miga się pomiędzy szuwary. Zawodu doznałem na błotach, znachodziłem dosyć derkaczy i kurek, ale z kszykiem, dubeltem lub kulonem dość rzadkie spotkanie Ranne pianie żurawi, wylęgłych na tutejszych moczarach leśnych. odmienne zupełnie od słyszanego u nas kruczenia i wieczorny świst żółwi po rowach i bagniskach jest także właściwością tych okolic. Staroświeckie strzelby tutejsze nie mogą zresztą zachęcać bardzo myśliwego, nawykłego do ulepszeń z zachodu, o przewiezieniu zaś własnej broni trudno pomyśleć, jeżeli rewolwer przeznaczony dla jakiegoś gubernatora Tyflisu musiał odbywać dłuższą kwarantannę na komorze w Wołoczyskach.

Lud wiejski posiada mimo zakazów dosyć strzelb własnej industryi, a odpowiedniej też amunicyi można dostać po sklepikach żydowskich w każdej prawie wiosce. Poluje zatem kto chce, ustawy w tej mierze nikt nie zna, chyba że pan czastny prystaw jaką wymyśli. Warty chłopskie po wsiach i zuchwałość ludu przy szerzącem się przebraniu z dawnych guniek i malowanek w spencery i perkale jaskrawe, wzięte z modeli obcych robotników przy cukrowniach, jego dzikie i wcale nie melodyjne spiewy, tworzą takie uzupełnienie charakterystyki kraju, że myśliwy z nad Pełtwy zatęsknić może za swą Galicyą wśród szerokiej, bujnej i pięknej niegdyś Ukrainy. *L. W.*

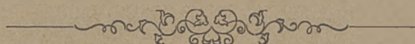
Z Podhala.

Okolica nasza nie obfituje w zdarzenia myśliwskie, wykazy ubitej tu zwierzyny nie mogłyby iść w zawody z podawanymi z innych szczęśliwszych pod względem fauny okolic, to też dla „Łowca“ i łaknących niepolitycznych nowin abonentów jego „Podhale“ jest ziemią nieznaną, chyba że który z tych ostatnich z mody lub i rzeczywistego miłośnictwa gór przebrany za turystę zwidza Tatry i przy tej sposobności pokokietuje kiedy z rudlem pasących się lub spłoszonych salwami rewolwerowemi kozic, a może nawet, kto to wiedzieć może, wiedziony gorączką myśliwską, korzysta z sposobności, by z jakim góralem myśliwym podkraść się do nich na strzał.....

Ci ostatni bowiem, a jest ich tu bardzo wielu i nader sprytnych między góralami, nie dadzą się odstraszyć ogólnym zakazem strzelania kozic, ani też przykładem wymierzanych za to kar, ale polują z zasadzki na tę ozdobę Tatrów. Nie jeden taki grzeszek mają na sumieniu i urzędnicy skarbu Zakopańskiego. Mało też między nimi prawdziwych myśliwych, gdy idzie o niedźwiedzia, posługują się najczęściej góralami. Ciekawy jednak zdarzył się tam z początkiem Października b. r. wypadek. W okolicy Morskiego oka otropiono w końcu Września na ponówce cztery niedźwiedzie, z których jednego, średniej wagi postrzelił starszy leśniczy, a dobili inni myśliwi. Owóż we dwa tygodnie potem wybrała się znowu szczupła drużyna myśliwych: dwóch leśniczych, jeden praktykant, kilku leśnych, kilku chłopów amatorów i — czy uwierzycie kapłani Diany? — pewien komiwojażer z Wiednia, lecz tutejszo-krajowiec, obwożący właśnie podtenczas tamtędy towary kościelne na okaz. Z wypożyczoną strzelbą śrótówką, która pamięta lepsze czasy, w kamaszkach i palcie, improwizowany myśliwy ten, mający już z niedługiego życia swego niemało trofeów myśliwskich, jak piórka z sojek i srok, zajął wskazane mu stanowisko między leśniczym i praktykantem w otwartym nieco gąszczu nad drożyną lasową, atoli nie kontent z krótkiego widoku na domniemywany przesmyk niedźwiedzia, t. j. ową drożynę, wysunął się na sam przesmyk. Po krótkiej chwili słyszy on głosy kilku naganiaczy i tuż, tuż dwa strzały sąsiada, po nich wysuwa się przed naszego bohatera na kilkanaście kroków, widocznie niekontent z stawianych mu przeszkód, borujący marucha, i rusza z powitaniem ku komiwojażerowi. Jak nam opowiadał, zaraz po strzałach przyłożył broń do ramienia i w tej pozycyi zobaczywszy zwierza, skierował doń mordercze niegdyś w jego rękach dla srok i sojek narzędzie i z odległości 8—10 kroków palnął na sztych między ślipie. Gotowy do drugiego strzału czekał sporą chwilę, aż niedźwiedź ukaże mu się z dymu, lecz o dziwo, gdy dym ustąpił, niedźwiedź konał już tuż przed nim. Szczęśliwy strzał z kiepskiej kapslówki, zupełnie niepasującą kulą ugodził niedźwiedzia w środek czoła. Gbyby nie to, firma handlowa Fellinger & Comp. byłaby pozbawioną na dłuższy czas wiadomości o swoim wysłańcu, niedźwiedź bowiem nie mógłby go minąć, ani też on zejść mu z wązkiej drożyny, a była to sztuka gruba, ważąca 560 zł.! Uśmialiśmy się potem do syta z naiwności improwizowanego Nemroda, pokazało się, że dopiero w skutek przedstawienia niebezpieczeństwa, w jakiem się znajdował, pojął grozę swego położenia. Nawrócił też zaraz potem do swoich interesów.

Ale, ale! Mamy tu piekącą nas myśliwych i dzierżawców polowania po wsiach kwestyę, której rozwiązanie szanowna Redakcya na siebie wziąć raczy. Oto łowią tu Górale w jesieni kwiczoły pod sieci. Było zwyczajem, że taki kwiczołołap opłacał się corocznie dzierżawcy polowania skromną daniną, kilkoma parami kwiczołów. Przyszło jednak obecnie do głowy pewnemu wójtowi, że danina ta jemu właśnie przydałaby się. W Starostwie dowiedział się też, że według dawnych przepisów „ptasznictwo“ nie należy do polowania, a więc dzierżawca nie ma prawa do ptaków. W dalszem następstwie zwierzchnik ów gminny nakazał łapiącym kwiczoły w jego gminie, aby daninę p o d ł u g p r z e p i s u j e m u, a n i e d z i e r ż a w c y p o l o w a n i a składali Jeden przykład łatwo pociągnąć za sobą może więcej takich „pogminnych“ renitencyi. Niejasne i zastarzałe ustawy nasze rzeczywiście tak opiewają, aleź pod „ptasznictwem“ zdaniem naszem rozumiećby należało niewzbraniane dawniej łowienie ptaszków bądź śpiewających bądź innych, kwiczoły zaś jak i inne skrzydlacze strzelane lub łapane stanowią dziczyznę, Wildpret, a już najmniej przyznać można wójtowi prawo, aby obok opłaty dzierżawnej za polowanie gminne pobierać miał jakiś odrębny trybut za łowienie kwiczołów. Polowania nasze są bardzo ograniczone, gdyby przeto dzierżawcy odpaść miało kwiczolnictwo, czułby się taki dzierżawca pokrzywdzonym, gdyż licytując polowanie i ofiarując za nie pewien czynsz, reflektował przytem głównie na łowienie kwiczołów. Gmina miejska Nowytarg np. od bardzo dawna, t. j. za urządzenia dawnych magistratów i aż potąd umieszczała w swych kontraktach prawo polowania, do którego należy łowienie kwiczołów. Takąż stypulacyę umieściło przed paru laty, rozpoczynając wydzierżawianie polowań gminnych z swego ramienia, tutejsze ck. Starostwo, jakżeż więc teraz można wbrew tej enuncyacyi interpretować na niekorzyść trzecich osób ustawy. Upraszam więc uprzejmie szanowną Redakcyą o jakiś komentarz, do którego odwołaćbyśmy się mogli, gdy tego potrzeba wymagać będzie. *W. R.*

P. R. Na obszarach dzierżawionych niewolno nikomu polować czyto na grubszą zwierzynę, czy to na ptactwo, każda zwierzyna, gruba czy drobna na tym obszarze jest własnością dzierżawcy, a wszelkie polowanie nieuprawnione ze strzelbą lub sidełkami podlega karze jako występek kłusowniczy.



KRONIKA.

Krukienice, 7 Listopada.

W pierwszych dniach Listopada zabito w Krukienicach 6 dzików. z tych położył hr. Leonard Starzeński trzy. Jednego dnia wyszła na niego maciora z czterma warchlakami, strzelił i zrobił dubletę, warchlak rulował, a samura poszła dalej, ale drugiego dnia znaleziono ją nieżywą, w tym dniu nie tropiono jej, bo były inne dziki w miotach. Nazajutrz otropiono dużego odyńca w ogromnych gąszczach w siedmnasto-letnich świerkowych kulturach, śniegi spadły duże tak, że owa kultura tworzyła formalne sklepienie. Gdy się myśliwi rozstawili z jednej, a naganiacze z trzech stron, puszczono tropowca, który wnet doszedł dzika i począł naszczekiwać, ale odyniec nie myślał ruszyć się z swego schronienia. Posłałem podleśniczego w pomoc tropowcowi, aby odyńca z legowiska wyruszyć. Jakoż dzik ruszył, ja wystrzeliłem w celu dodania psu zacięcia, a przerażenia odyńcowi, i wnet słyszę dwa strzały. Byłem pewny, że dzik przeszedł linię, ale słyszę, że pies w tem samem miejscu naszczekuje, pytam, kto strzelił, i dowiaduję się, że hr. Leonard Starzeński strzelał, i że w miot poszedł. W obawie, by zapalonego widocznie młodego myśliwego dzik w gąszczu nie poszarpał, biegnę za nim w miot, słyszę strzały, potem jakieś szamotanie i urywane skomlenie psa. Zbliżywszy się widzę zaiste niezwykły obraz. Odyniec rozjuszony, cały zfarbowany szarżuje na hr. Leonarda Starzeńskiego, który stoi w pozycyi do ataku i pakuje w dzika kordelas po samą rękojeść, pies zaś z tyłu trzyma odyńca, szarpie i ciągnie w tył z całej siły. Dzik spostrzegłszy mnie rzuca się ku mnie, ale targany przez psa, kłuty przez myśliwego, powala się na ziemię zadem, i zaczyna zębami kłapać. Podaję kule hr. Starzeńskiemu, który go wreszcie dobija. Nadmienić potrzeba, że hr. Starzeński nie tylko kule, ale i zapas śrótu Nr. 10 do dzika tego wystrzelał i próżne już miał lufki. Muszę tu bez pochlebstwa wyznać, że tak odważnego i przytomnego młodzieńca nie zdarzyło mi się widzieć. Nie wiedziałem, czy mam strzelać do dzika, czy podziwiać tę zimną krew młodego myśliwego, czy patrzyć dalej na ten cudowny obraz, jaki się mym oczom przedstawił.

Jan Ostrzechowski.

---

4 Listopada.

Kłusownictwo w wagonach. Strzelec a myśliwy — dwa wyrazy, których się często w języku łowieckim używa, a jeszcze częściej najniewłaściwiej przekręca i jeden za drugi stawia. Można być doskonałym strzelcem, a nie myśliwym, jak również doskonałym myśliwym, a średnim strzelcem. Strzelec-pukacz (Sontagsjäger) strzela, by zwierza zabić, zamordować, nie troszcząc się o to, jak i czem był ugodzony, byle był zabity i dostał się mu na własność. Kszyk, kuropatwa, słonka mogą być rozbite na miazgę, byle wisiały u troków, zając lub rogacz może być strzelany grandkulkami, loftkami, nawet pękającą kulą, bez skoku, z wydartym bokiem, jeszcze żyjący staje się chlubą strzelca-pukacza, który z dwóch luf go jeszcze dobija. — Innym jest prawdziwy myśliwy, chybić może, lecz strzał naprzód obmyśla, i pragnie mieć zwierzynę przez siebie zabitą całą, do użytku zdolną i piękną, i ztądto pochodzi dawne wyrażenie myśliwskie: „zwierz gracko po myśliwsku strzelony“. Tak zabity zwierz musi się nawet nie myśliwemu i niestrzelcowi podobać. Celem mojej dzisiejszej korespondencyi jest prośba do szan. Redakcyi, by „Łowiec“ jako organ myśliwstwa całego kraju wezwał Dyrekcye naszych kolei, wszystkich bez wyjątku, aby staranniej czuwały nad zwierzyną, której wysyłkę pod ich opiekę się oddaje. Ja sam posyłałem kaczki dzikie i słonki, którym na kolejach obcinano głowy i skrzydła tak, że tylko tułów na miejsce przeznaczenia dochodził, odbierałem rogacze i zające z wszystkiemi racicami i skokami obciętemi, bażanty w magazynach kolejowych do połowy przez szczury zjedzone, a co one niedojadły, odesłano mi obskubane i bez ogona. W ostatnim roku odebrałem trzy dziki, z których gdy dwa pierwsze przyszły ze szerścią na grzbiecie wydartą do czysta, ale zresztą całe, prosiłem, by trzeciego obszyto przed oddaniem na kolej w grube płótno, by jego skórę od uszkodzenia ochronić. Jakież było moje zdziwienie, gdy dostałem dzika z rozprutą na grzbiecie powłoką i z wyskubaną do czysta szczecią. Chcę wierzyć, że to są sprawki niższej służby kolejowej, twierdzę jednak, iż panom Naczelnikom stacyi powinno zależeć na tem, by na składach i w magazynach nie tylko szczury i służba gospodarowała, niszczyła i uszczuplała (używam najłagodniejszego wyrazu) cudzą własność, której transport suto opłacamy. Czy postępowanie takie świadczy o porządku i sumienności personalu kolejowego — niech łaskawy czytelnik osądzi. *S. O.*

Lwów, dnia 25 Listopada.

Szczęśliwie rozpocząłem szereg polowań tegorocznych na białej stopie. Ostatnie dnie ubiegłego miesiąca spędziłem na Wołyniu w Szepetówce i natrafiłem właśnie na tak wczesną tego roku pierwszą ponowę. Pierwszy zaraz objazd wykazał w lasach Szepetowskich 3 wilki. Szkodniki te należą w owych lasach tylko do nieproszonych gości, nie zaś do stałych mieszkańców, dokłada się też wszelkich starań do ich zupełnego wytępienia. Dnia 31 Października przed południem dano znać do dworu, że zalegly. W godzinę później staliśmy już na stanowisku, mając przed sobą zrąb, w którym wilki były objechane. W kilka chwil po odezwaniu się nagonki ujrzałem przed sobą dwa wilki, zmierzające ku linii. Jeden z nich wyskoczył z miotu i ugodzony mymi dwoma strzałami legł niedaleko miejsca postrzału, drugi zwrócił się na mego sąsiada na prawo, gdzie poczęstowany śrótem przez tegoż, umknął jednak w pograniczne lasy. Równocześnie trzeci towarzysz z tej hultajskiej trójki wypadł na mego sąsiada na lewo, który go celnym strzałem powalił. — Był to duży stary wilk, przezemnie ubita sztuka zaś spora wilczyca. I tak mile mi zostanie w pamięci pierwsza ponowa 1881 roku.

Józef hr. Potocki.

Wpisali się w poczet członków Tow. łowieck.

Barański c. k. Starosta.
Komorowski Michał hr.

Brody, 28 Października.

Już przedtem donosiłem, że kilka nurów morskich spadło w mieście podczas przelotu. Dziś dodaję, że są to nury polarne *(Colymbus arcticus)*. Pięć sztuk znaleziono na drodze, wiodącej z miasta do dworca kolejowego. Przejeżdżający fiakry spostrzegli owe ptaki, chodzące po gościńcu, i naganiali je biczami sądząc, że to kaczki swojskie.

St. Małaczyński.

W okolicy Olkienik w gub. Wileńskiej, powiecie trockim, tak się wilki rozzuchwaliły, że w biały dzień z pastwiska porywają owce i bydło. Powodem tak wielkiego rozmnożenia się wilków jest zupełny brak palnej broni u mieszkańców okolicznych. *Gaz. Nar.*

Nury polarne zaskoczone silnymi mrozami przedwczesnymi na północy, dążą w sfery cieplejsze bez wytchnienia i znużone padają na wody, na których tylko swobodnie poruszać się mogą, a jeśli one pokryte już lodem, zapadają na suche miejsca, na których tak są bezwładne, iż ręką dają się pochwycić. Tak się też stało u nas podczas mrozów, Muzeum im. Dzieduszyckich otrzymuje ze wszystkich stron nury polarne żywe i nieżywe, które znużone daleką wędrówką padają na pola i łąki, i stają się łatwą zdobyczą.

W Grzybowicach polowano dnia 10 Listopada, i ubito w 14 myśliwych w przeciągu trzech godzin 11 zajęcy i 4 rogacze.

Dnia 10 Listopada dostarczono do handlu korzennego E. Kleina we Lwowie 24 słonek i 3 mocno oblane kszyki z okolicy Brodów.

Łukawiec, 15 Listopoda.

Pospieszam przesłać sz. Redakcyi relacyę z odbytego polowania. W dniach 7go i 8go Listopada roku bieżącego odbyło się polowanie w szczupłem gronie najbliższych sąsiadów w lasach dóbr Podkamienia koło Brodów, posiadłości hr. Alberta Cetnera. Rezultat przewyższył nasze oczekiwania, gdyż w 7 strzelb ubiliśmy 34 zajęcy, 2 lisy i 2 kozły (inne 2 kozły chybiono). Wiele bardzo zajęcy uszło w części chybionych, w części wcale nie strzelanych tak, że przy większej ilości myśliwych można było łatwo 50 zajęcy ubić. Rezultat ten tem świetniejszy, gdy się rozważy, że dobra Podkamień, leżące na samym dziale wód, mają z powodu swego wysokiego położenia nader ostry klimat i późną wiosnę, co na rozmnażanie się zwierzyny niekorzystnie oddziaływać musi. Nadto rozciągają się lasy Podkamienieckie w około miasteczka, a komuż nie wiadomo, jak w takich miasteczkach kwitnie kłusownictwo. Toż każdy mieszkaniec ich prawie —•to wielki lubownik zajęczej pieczeni, a prócz tego pasyonowany amator wycieczek podczas księżycowych nocy,

wtedy uzbrojony w odwieczną sznurkiem powiązaną pojedynkę, siedzi spokojnie i zdradziecko pod lasem, pod sadem swoim, i gdzie tylko wcisnąć się może, czekając cierpliwie, aż biedny zajączek w nocnych swoich harcach na trzy kroki doń się zbliży, i w dodatku jeszcze zakołkuję. A należy dodać, że taki kłusownik nigdy na niepewne nie strzela. Wstrętnym jest dla niego strzał choćby na 20 kroków lub w biegu, on cierpliwie dopuści go aż pod samą lufę, w ogóle tak zarządzi, iż strzał jego nie chybi. To też całe uznanie należy się właścicielowi, który staranną zapobiegliwością zdołał kłusownictwu tamę położyć, i w czasie stosunkowo krótkim stan zwierzyny w swoich lasach podnieść. W końcu dodać muszę, że gościnne a miłe przyjęcie nie mało się przyczyniło do przyjemnego spędzenia tych dwóch dni. *W. G.*

Wabienie wilków. „Sztuką — zwierza tłuką“, mówi stare przysłowie, i w istocie częstokroć myśliwy różnych fortelów musiał używać zwłaszcza, iż niektóre ze zwierząt zmysł ostrożności do wysokiego stopnia posunięty objawiały. Komuż nie znana przebiegłość wilków i lisów. Śród wielu innych sposobów zetknięcia się z wilkiem, owym czworonożnym bandytą, używanem było niegdyś powszechnie „wabienie“. Dziś idzie już w zapomnienie ów najlepszy sposób tępienia wilków i ich rodu. Może ostatnim prawdziwym artystą w wabieniu wilków był zmarły niedawno hr. Aleksander Dzieduszycki, z nim też podobno wygasa w wyższych sferach myśliwskich zamiłowanie do takiego rodzaju łowów. Jakim mistrzem w owym kunszcie łowieckim był śp. hr. Alexander, niechaj poświadczą druhowie dziś jeszcze żyjący jego wypraw łowieckich. Całą sztuką takiego „wabienia“ było umiejętne i łudzące naśladowanie wycia wilków. W jesieni chrypliwe i ciche zwabianie sporo już podrosłych, młodych wilków, gdy one nie zgromadziły się jeszcze w „chmarę“, lecz pojedyńczo po kniei się porozłaziły, a szukając się nawzajem z rzadka się odzywają, na które głosy matka „wadera“ cieńszym niż samiec głosem odpowiada, spiesząc za szczeniętami i na strzał myśliwego. Inaczej wyje wilczyca na wiosnę w czasie „cieczki“, równie też odmiennym głosem odzywa się samiec. Niełatwo było naśladować te różnorodne głosy, trzeba było znać dokładnie obyczaje tych zwierząt, wsłuchać się dobrze w ich mowę, aby w każdej porze, dla każdej płci, dla każdego wieku zwierza, odmiennego użyć głosu. Wabienie jest kunsztem nader pożytecznym, szkoda więc, żeby dla myśliwstwa zatraconem zostało. Towarzystwo łowieckie, złożywszy już tyle dowodów swej pożyteczności, powinnoby i w tym względzie przysłużyć się krajowi wzywając swych członków, aby wskazywali znanych zławiaczy wilków, którzyby chętnych tej sztuki wyuczyli, i tym sposobem ją od zatracenia ochronili Ile mi wiadomo, żyje taki znakomity zławiacz w głębokich górach sanockich, pod samym Beskidem, we wsi Wetlinie. Nazwiska jego nie pamiętam, wiem tylko, że to stary, doskonały myśliwy, a szczególną jego odznaką olbrzymia łysina z potężnym w jej środku guzem. Zna go wreszcie dobrze dzisiejszy dzierżawca Wetliny p. Ludwik Wohner, u którego przed rokiem jeszcze pełnił służbę dozorcy i myśliwego. Podobno w tejże samej wsi mieszka chłop góral, umiejący wybornie o każdej porze wabić wilki. *Gawin.*

Łubianki, 6 Listopada.

Dnia 5 Listopada polowaliśmy w lasach Łubianeckich i przy pięknej pogodzie ubito w siedmiu miotach 54 zajęcy, 6 lisów, 4 kozły i 9 kuropatw. W tej jesieni było u nas i w okolicy nadzwyczaj mało słonek, zajęcy stosunkowo dosyć, sarn też widziano na ostatniem polowaniu, chociaż tylko jeden miot na nie wzięto, ze 30 sztuk. *W.*

OGŁOSZENIA.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorza.